Ner 7. Kraków 1 kwietnia 1868. Rok III.

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania.— Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody i kroje z gotowemi formami i opisami dołącza się każdego 1go. Nuty każdego 15go.

BIURO REDAKCYI i ADMINISTRACYI przy ul. Mikołajskiéj Nr. 451 na dole, otwarte codziennie wyjąwszy niedziele i święta od godziny 9téj do 12téj rano.

☞ Numer dzisiejszy jest **pierwszym bieżącego kwartału**. — **Nie życzący sobie nadal prenumerować, zechcą niniejszy numer zwrócić.**

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dla Prenumerujących **mody.**

ARTUR GROTGER.

Ustęp z dziejów sztuki polskiéj.

(Ciąg dalszy.)

Klaczko opierał twierdzenia swoje na następujących argumentach: Sztuki plastyczne mają do czynienia z kształtami i z barwami. Tymczasem usposobienie nasze, jako ludu północnego nie sprzyja rozwijaniu się poczucia piękności i harmonii kształtów; zimny klimat zmusza nas do zakrywania kształtów, mamy wstręt do nagości; a to wszystko stanowi właśnie warunki rzeźby. Ponurość klimatu północnego nie sprzyja również grze i rozmaitości kolorów. Jedynie poezja i muzyka, których materjał jest idealny i uniwersalny, to jest słowo i ton, mogą i u nas kwitnąć. Nadto przytaczał, że przyroda odmówiła nam marmuru, a tego żadna ludzka siła już nie odmieni. Na twierdzenia te należy po kolei odpowiedzieć.

Że mamy na tyle zdolności i cywilizacyi, aby sztuki u nas rozwijać się mogły, na to dowodem poezja i muzyka. Jeżeli zaś duch narodu zapotrzebuje plastyki, to zapanuje i nad kształtami i nad kolorami. Bo ducha ludzkiego nie można mierzyć tą samą miarą co przyrodę. W przyrodzie, gdzie nie ma lasów, tam nie może być fabryk zapałek, gdzie nie ma pokładów mineralnych, lub metalowych w ziemi, tam nie może się rozwijać górnictwo. Ale bogactwa kopalń i gospodarstwa umysłu ludzkiego, zależą od niego samego, sam z siebie wydobywa treść swoją i stwarza sobie odpowiednią formę i materją do wcielenia jéj. Nawet w przyrodniczém gospodarstwie umysł ludzki tak sobie poczyna. Toć Żuławy, ziemie sztucznie wyrwane falom morskim, przedstawiają zaledwie dość miejsca dla mieszkania ludzi, a nie są zupełnie w stanie wyżywić ich i wygody życia im zapewnić. Tymczasem przemysł ludności sprowadza materjał z całego świata, przerabia i przetwarza we fabrykach i zapewnia ojczyznie swojéj dobrobyt i cywilizacją.

Zapomniał Klaczko o téj potędze ducha ludzkiego, zapomniał też, że i te prawdy mają za sobą w dziejach naszych świadectwo. Jakeśmy wspomnieli wyżéj, że wszystkie wielkie zasady i cnoty, tak też tutaj znajdujemy, że i plastyczne sztuki mają w Polsce swoją tradycją. Wiek 15. dał nam óltarz w kościele Marjackim w Krakowie, dał nam rzeźbę drewnianą Wita Stwosza, dał nam jego arcydzieła jeżeli nie z białego, to z brunatnego krajowego marmuru. Wiek 17. dał nam malarza Leksyckiego, którego obrazy religijne w jednéj z kaplic na Kalwaryi potęgą wyrazu nas zdumiewają. Podobnoś Wolsner architekt tumu Ś. Szczepana w Wiedniu był rodem Krakowianin. Są to dowody zdolności narodu do sztuk plastycznych czerpane nie już z filozoficznego rozważania ducha ludziego, ale z faktów dziejowych. Potwierdzają one tę prawdę, że teoryj i granic duchowi ludzkiemu narzucać nie można, że nie można stawiać z g ó r y estetycznych formuł, że krytyka może i powinna wyprzedzać kreacją, byle nie opierała się na pewnych tylko danych, ale obliczała się z wszystkiemi, a nareszcie, że głównem zadaniem jéj jest wyjaśniać i prostować drogę na którą fakta wchodzą, na którą wchodzi twórczość narodu. Zadaniem jéj jest odgadnąć, wytknąć i ściśle oznaczyć tę drogę, ale przepisywać jéj nie może.

Widocznem jest więc, że jak niegdyś twórczość narodu objawiła się w rzeźbie drewnianéj i marmurowéj tak i późniéj podobny czas mógł nastąpić.

I rzeczywiście, gdy od roku 48 zabrakło poezyi naszéj słów; gdy język ludzki zdał się już za ubogi do ogarnięcia potęgi niedoli naszéj; nie ustała wprawdzie melodja płaczu i nadziei, ale pokazała się potrzeba form nowych, form, któreby n a r a z wszystko ogarniały i przedstawiały, a nie po kolei jak słowo i ton, a któreby nadto pozostawiały jeszcze wolną perspektywę dla

myśli i fantazyi widza. I oto powstało malarstwo, aby tym warunkom odpowiedzieć, i berło twórczej siły narodu jemu obecnie przypadło. Rzeźba pokazała talenta, Szubert, Sztatler, Oleszczyński, Filippi, Sosnowski i inni; ale nie stała się potęgą; nie jéj to czas. Malarstwo zaś stało się już Prometeuszem niosącym ogień z nieba. Poezja nie wahała się oddać mu swój hołd dobrowolny i pójść w jego służbę. — I oto już nie rysunki ilustrują poemata, ale Pol ilustruje tekstem swoim obrazy Grotgera!

Nieznaczne były początki, tak jak to bywa przed burzą; czasami łyśnie, tu i owdzie zamruczą chmury, kilka kropli upadnie, znowu cicho, aż nagle grzmoty zahuczą i nawalnica z piorunami się rozhula, a ziemia cała drży. Tak i tu było: Tam najpierw Stachowicz ludowe życie podpatruje; tam Gerson, Kostrzewski, Kotsis, Tepa, Loeffler i całe plejady rozwijają styl rodzajowy, który jest tém w malarstwie, czém w literaturze powieść, a w muzyce taniec (w szerszém znaczeniu); tam Rodakowski zyskuje laur od krytyki świata, tam Piotrowski obiecuje historyczne kreacje; staje świeżo zmarły Simler z swoją Barbarą, niby Długosz, który kronikarstwo do historyi podnosi; aż nareszcie występują dwaj olbrzymy i obaj zasiedli na rydwanie sztuki, dwaj orły, którzy się dzielą obszarami niebios: Matejko i Grotger.

Twórczość Matejki zerwała okowy szkoły i rutyny; mistrz wystąpił od razu pewny siebie. Świeżość pomysłów, dramatyczne pojmowanie historyi, oryginalna jędrność kolorytu, obejmowanie całych epok, żywotność w traktowaniu przedmiotów, potęga charakterystyki w postaciach — zrozumiałość i przystępność najgłębszych tragiczności, oto cechy odsłaniające się coraz wybitniéj w kolejnych jego utworach — cechy, z których niejednéj poeci dramatyczni uczyć się winni od niego. Wśród epizodów bądź to jasnych, bądź ciemnych jak: „Kochanowski nad trumienką Urszulki; — „Scena z dziejów akademii krakowskiéj“ — „Jan Kazimierz na Bielanach wobec pożaru Krakowa“, Sędziwój, Wit Stwosz; wydobył z goryczą Stańczyka, błazna patriotę, pokazał nam w „Skardze“ proroctwo ruiny; nareszcie włożył palce do rany, nazwał po imieniu, zaszarpał wnętrznościami i pokazał nam już samą okropność ruiny w protestacyi Rejtana. Ani poeta, ani historyk żaden tak nas przerazić i tak nas skruszyć nie zdołał. Słychać, że z kolei pokaże nam „Unię Lubelską“, to jest Polskę, kiedy była najświetniejszą. — O taka téż droga nasza: poznanie upadku — dźwignięcie się do ideału.

Innemi szlakami poszedł Grotger: — to Homer malarski, to epopeje naszych najkrwawszych i najświeższych dni, to dziecko największych nadziei i boleści, pokrewny druch Słowackiego, równy mu słonecznością fantazyi. A jest to przytém zjawisko najrodzimiéj oryginalne, o swoich odrębnych własnościach nie mające żadnych poprzedników. Nie mierzyć go żadną formułą, ale zachwycać się, obserwować i oceniać.

Z każdym rokiem artystyczna i narodowa wartość prac jego rosnąć będzie. Przyczyny tego należy wykazać i uzasadnić. Więc zastanowimy się nad Grotgerem obszerniéj, jak tego wymaga po nas człowiek, obywatel i przyjaciel, którego wczesny zgon smutkiem po całym kraju powionął. C. d. n.

LASY,

PRZEZ DEOTYMĘ.

I.

Niegdyś.

Przed laty wielu, może tysiącem,
Przez pełną ciemnic i postrachów puszczę,
Pod noc, wędrowiec szedł z sercem bijącem.
Jakże ma nie drżéć?... W bagnisku co pluszcze,
W echu co huka, w rozłomach co trzeszczą.
Słyszał wyraźnie głosy leśnych bogów,
A ich obecność była mu złowieszczą;
Człowiek na on czas miał w żywiole wrogów.
Kraj nasz był jednym, niezmierzonym lasem;
Po nim drapieżne hulały zwierzęta,
A mgła wyziewów, pod słońcem rozpięta,
Tłoczyła piersi. Człowiek tylko czasem
Wyprosił sobie jakie gniazdko małe.
Ilekroć stawał z siekierą pod drzewem,
Blednął przed mściwym bogów leśnych gniewem;
Dla przebłagania, święcił im na chwałę
Nietknięte gaje; tak zakląwszy dolę,
Z latami wązką wykarczował rolę.
Jak oblężony w chwiejącéj zagrodzie,
Drżał czy mu wilki nie plądrują w trzodzie,
Czy mu niedzwiedzie nie zburzą pasieki,
I stert nie porwą rozhukane rzeki?
Owad zrojony w topielnym odmęcie,
Trującém żądłem ścigał go zacięcie.
Sępy w powietrzu, żubry wśród manowców,
Niebo i ziemia wieczyście się biły,
A drogi wówczas stały jak mogiły,
Znaczone kośćmi niebacznych wędrowców.

Więc drżał podróżny idąc czarnym borem;
W mgle majaczące kształty się plątały....
Każdy go strumień gonił jak duch biały,
Każdy pień drogę zabiegał upiorem.
W łunie księżyca wyszedł na rozdroże;
Tu krzyknął... dłużéj nie zdołał się ostać...
Twarzą o ziemię padł w wielkiéj pokorze.
Cóż ujrzał?... Przed nim, przeleciała postać

Zielonym, szumnym płaszczem owinięta,
Bujna jak drzewa, dumna jak orlęta;
Miała cudowne, ale groźne lica,
W czole wyryte słowo: Tajemnica.

— Zjawisko różczką błogosławi gaje,
I biegnie szybko jak w szczęściu bieg czasu.
Po długim płaszczu człowiek go poznaje,
To on: duch lasu.

Pędzi i śpiewa, a wędrowiec w szumie
Gończego śpiewu, te słowa rozumie:
„Święto wam ogłaszam, święto!
„Póki człowiek nie dorośnie,
„Póki wieńca nam nie zdjęto,
„Obchodzimy w każdéj wiośnie,
„Naszego wszechwładztwa święto!“

Bór na to hasło podniósł dumną głowę;
Drzewa porwane w ruchy orkanowe,
Klaszczą gałęźmi, chwieją się szalenie;
W dreszczu radości źródliska się mącą...
Ptaki pląsają chmurą wirującą,
I płazy świszcząc tańcują w pierścienie.
Wilki i tury zbite do gromady,
Zawodząc ryki zwycięzkie i wycia,
Skaczą dziwacznie, nawet grzyb z ukrycia
Złośliwym ruchem strząsa kraśne jady.
W tym opętanym tryumfów sabbacie,
Wszystko się cieszy, wszystko, prócz człowieka,
Co przerażony z téj burzy ucieka,
Na próg swój pada, zamyka się w chacie,
I drży.... aż nagle wstał królewskiém czołem,
I rzekł ponuro: „Dla czego pierzchnąłem?
„Wszak i ja w sobie czuję moc tajemną...
„Los się przesila! Kiedyś przyjdzie chwila,
„Gdy nie ja zadrżę przed każdym żywiołem,
„Ale żywioły przedemną. (C. d. n.)

SYRENA.

(POWIEŚĆ SPÓŁCZESNA.)

(Ciąg dalszy.)

V.

Komentarz do poprzedniego rozdziału.

Dla zrozumienia wypadków opisanych w poprzednim rozdziale potrzeba nam poznać bliżéj owego człowieka, z którym doktór miał tak niefortunne zajście o nieznajomą blondynkę. — Zajście to wystawiło go w bardzo niekorzystném świetle, i wstrętne budzić musiało wrażenie; jednak jak to zaraz obaczymy, była to więcéj wina nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, niż złego charakteru.

Juliusz Nuryn był dziwnego usposobienia, a dziwactwo to miało swój główny powód w dumie, jaką żywił ten człowiek w piersiach swoich. Chciał stanąć wysoko, odznaczyć się czemś, zasłynąć, nauka zdawała mu się najwłaściwszą drogą do tego — rzucił się więc do niéj z gorączkową namiętnością, noce całe można go było widzieć zgiętego nad księgami, pożérającego chciwie oczami najnowsze dzieła prawnicze. Pomimo jednak tego mozołu, téj olbrzymiéj pracy, nie mógł awansować ze skromnéj posady, jaką zajmował w trybunale; ludzie mniej uzdolnieni ubiegli go, i prześcignęli, a to głównie z tego powodu, że Juliusz liczył tylko na siebie, na swoją zasługę, nie szukał wstawiennictwa, protekcyi, nie umiał się kłaniać, nadskakiwać, a ponura jego i milcząca figura wstrętnym i niemiłym go robiła w biórze w oczach przełożonych. Ta niesprawiedliwość uczyniła go jeszcze więcéj ponurym, milczącym, towarzystwo ludzi rozdrażniało go tylko i męczyło — bo mu przypominało jego małość, jego upokorzenie; z skarbami ogromnéj wiedzy siedział jak głodny Arab, z workiem pereł na puszczy, a wszystkie warstwy społeczeństwa, wobec których stał niżéj, przygniatały dumnego marzyciela, jak żywy grobowiec. Nieraz, kiedy wracał z Saskiego ogrodu lub z innego miejsca tłumnych zebrań, rzucał się z jękiem na posłanie, tarzał się konwulsyjnie i targał włosy z rozpaczy, że wśród téj masy ludzi on zginął jak robak w prochu, wściekało go to, że nikt nie wie, iż on żyje, że nikt wiedzieć nie będzie, gdy umrze; podczas gdy inni ludzie mniéj może wartający niż on, przesuwają się przed oczami tłumu błyszcząc bogactwem, zaszczytami. Niesłychana ta duma w młodym człowieku miała jedynie na swoje usprawiedliwienie jego sieroctwo. Nuryn był sam, sam w najliteralniejszém znaczeniu tego słowa. Nie znał matki, ani ojca, ani brata, ani siostry, ani dalekich, ani bliskich krewnych — jedném słowem był: sam. — Rodzinne ognisko, które jedynie ludziom wystarcza, do którego tylu wraca po doznanych zawodach w życiu i szuka przy niém szczęścia i spokoju, to ognisko nigdy nie płonęło dla niego. — Jego domem był świat, jego rodziną społeczeństwo; chciał więc dać znak o sobie temu społeczeństwu, powiedzieć mu jakimś czynem: żyję, jestem — a tego zrobić nie mógł pomimo najgwałtowniejszych wytężeń myśli i duszy. Pragnienia wielkości, sławy paliły go, wyciągały duszę jak na torturach to podnosząc ją w górę nadzieją, to obciążały kamieniem zwątpienia i strącały w przepaść. Były chwile, w których na całą przyszłość swoją rzucał silne pogardy i wtedy życie było dla niego błahe i bez ceny. — W takiéj chwili przelatywały kolo jego uszów kule moskiewskie w pamiętnym dniu 27 Lutego. Przysłuchiwał się strzałom z twarzą spokojną i mar-

twą. Około niego padła jedna z pięciu ofiar. O śmierci tego człowieka wiedziała nie długo cała Warszawa, cała Polska, a w kilka dni i Europa cała. — Blada i ponura twarz Nuryna rozpłomieniła się na tę wiadomość. Płynąc wśród fali ludu odprowadzającej pięć trumien na miejsce wiecznego spoczynku, zazdrościł tym, co w trumnach leżeli z czerwonemi ranami. Gdyby nie te rany, ci ludzie byliby umarli nie znani, chyba w małém kółku bliskich; jedna chwila uwieńczyła im ich imiona w historyi męczeńskich dziejów, jedyny wielki czyn był ten, że pozwolili się zabić, a raczéj, że ich zabito, może mimo ich woli. To rozważanie wzbudziło znowu w jego duszy śpiące marzenia o sławie, o odznaczeniu się. Odtąd należał do wszystkich demonstracyj narodowych, narażał się dobrowolnie. Demonstracje jednak były małoznaczące, krwawa scena 27 Lutego nie powtórzyła się — a demonstracje kończyły się aresztowaniem. Nadzieje Nuryna poczęły słabnąć i duch na nowo zapadać w ponurą noc zwątpienia. Mógł wprawdzie Herostratowym czynem uratować swe imie od zapomnienia, ale na to był za szlachetnym.

Nadszedł nareszcie 8 Kwiecień. W procesyi, która ciągnęła na nieochybną śmierć, znajdował się i Nuryn. Szedł naprzód z pragnieniem śmierci: gniewały go tylko te tłumy, które z nim razem szły, rozdzierać na kawałki palmę męczeńską, którą on chciałby całą dla siebie zatrzymać. On radby był teraz odepchnąć w tył tę całą masę ludzi, wszystkie strzały dla nich przeznaczone wziąść w piersi swoje i umrzeć za wszystkich dla siebie. Miał nadzieję, że w stanowczéj chwili strach zrobi mu tę przysługę. — Nadeszła ta chwila, czarne lufy karabinów spojrzały groźnie na tłum idący, ale nikt się nie cofnął: chwilowa tylko cisza zapanowała, jakby anioł śmierci przeleciał nad ludem i znaczył swoje ofiary; potém wszyscy ze śpiewem padli na kolana. Nuryn przeląkł się tego, widział, że przyjdzie umrzeć nieznanym, jak żył nieznany, przeląkł się téj śmierci, wyrwał się z tłumu jak szalony i z okrzykiem: „Niech żyje Polska!“ — leciał ku gęstym szeregom żołnierzy. Nie chciał umrzeć jak inni, chciał odznaczyć się, chciał przynajmniéj téj sławy, aby po śmierci zapytano o nazwisko tego, który z taką odwagą rzucił się naprzód. Błysnął ogień, dym zasłonił żołnierzy, Nuryn uczuł niezwyczajne ciepło w piersiach, w oczach mu się zamgliło i zachwiał się. W téj chwili jakiś wyrobnik, który za nim wyrwał się także, chwycił omdlałego w silne ramiona i uniósł w bezpieczne miejsce, do mieszkania jednego z tych, którzy wtedy już rozmyślali o zużytkowaniu tego zapału, jaki ogarniał naród i zorganizowaniu ruchu ku wyraźniejszym i bardziéj określonym celom. — Nuryna przypuszczono do narad i organizacyi, jego szalona odwaga, którą wzięto za wypływ wielkiéj miłości dla kraju, otworzyła mu tam przystęp i zjednała zaufanie.

Nie było to bez wpływu na niego wśród téj pracy, która w głębokiéj tajemnicy nurtować musiała jak kret pod ziemią, duma jego nie wiele miała widoków, chyba gdzieś w dalekiéj przyszłości i to bardzo niepewnéj, bo lada chwila więzienie lub szubienica mogły jéj kres położyć. Przy têm obcowanie z ludźmi, którzy z takiém bezgraniczném poświęceniem rzucali się na największe trudy, narażali się na ciągły niepokój i niebezpieczeństwo, nie mając na widoku żadnego zysku prócz śmierci, ostudził w nim bardzo gorączkę sławy, duma jego wobec tych ludzi rumienić się i zasłonić z wstydu musiała: sam przed sobą nie śmiał wspominać téj chwili, w któréj ta duma wyrwała go z tłumu i pędziła na śmierć. W tym tłumie zginęło wtedy tylu ludzi, nazwiska ich wraz z ich ciałami potonęły nieznane w falach Wisły. To bezpretensjonalne poświęcenie, było mu ciągłym wyrzutem. Wszystkie te okoliczności wpłynęły korzystnie na jego zmianę, obudziły w duszy jego wszystkie szlachetniejsze popędy.

Pomimo tego nie zmienił trybu życia. Wypełniając ściśle obowiązki w zakresie powierzonéj mu władzy, unikał jak dawniéj towarzystw, żył samotny i zamknięty. Nawet uczucie, które rozjaśnia najpiękniejsze dusze, nie odemknęło dotąd zapartych wrót jego serca. — Nuryn nie znał miłości, nie zbliżył się nigdy do kobiety. Może nieraz w marzeniach młodego odludka przewijał się jaki ideał, ale go nigdy nie szukał na ziemi, nie myślał o jego urzeczywistnieniu. I tutaj duma była mu zaporą. Nuryn nie był piękny. Ciemna cera przy rzadkich jasnych włosach, jasnozielone oczy nadawały jego twarzy wyraz mdły, pospolity, nie zwracający na niego oczów żadnéj piękności. Wiedział o têm dobrze i dla tego nie silił się nigdy o zdobycie żadnego serca kobiecego, będąc z góry przygotowany na niepowodzenie. Wszelkie więc marzenia o miłości, wszlkie iskry, co przebiegają po nerwach młodego człowieka, gasił obawą pogardy i upokorzenia.

Naraz stało się, że przypadek, (jeżeli to tak nazwać chcecie) zbliżył go do kobiety, co więcéj oddał mu ją w opiekę. Tą kobietą była to owa nieznajoma blondynka. Trudno opisać, co się działo z Juliuszem, kiedy poraz pierwszy w życiu uczuł dotknięcie kobiecéj ręki. Jakieś nerwowe drzenie, jakaś dziwna błogość ogarniała go i mięszała mu zmysły. Nie wiedział co się z nim dzieje, nie umiał sobie zdać z tego sprawy; uśmiech i rozrzewnienie przebiegały na przemian po jego ciemnéj twarzy. Jakiś dziwny, niewytłumaczony pociąg uczuł do téj kobiety, nie widząc nawet jéj oblicza, obecność jéj robiła na nim to wrażenie; jakiego doznaje człowiek, gdy po długiéj męczącéj drodze wejdzie między rodzinę i odpocznie; całe jego dotychczasowe życie wobec téj chwili wydawało mu się jak zimna noc, od któréj ze strachem odwracał oczy, a zwracał je ku swojéj towarzyszce, jakby się chciał

przekonać, czy ta istota, co taką w nim zrobiła przemianę, ma ludzkie rysy. — Kiedy kobieta owa zwróciła mu uwagę, że idzie złą drogą, że powinien ją odprowadzić do matki, zadrżał na myśl, że będzie musiał rozstać się z nią; to zdawało mu się w téj chwili niepodobieństwem. Zdawało mu się, że kiedy ją wypuści z rąk upadnie w jakąś otchłań ciemną, bezdenną jak ptak, gdy mu strzał skrzydła połamie. — Jakiś szał opanował go, pragnął lecieć z ową nieznajomą gdzieś daleko, w przestrzeń bez końca, i coraz silniéj cisnął jéj rękę swojém ramieniem, coraz szybszym posuwał się krokiem i nieprzytomnie instynktowo prawie biegł z nią jak skąpiec ze skarbem do swego mieszkania. Silne szarpnięcie ręki ocuciło go z tego szału, nieznajoma uciekała przed nim, widział ją niknącą w ciemnościach i zrozpaczonym głosem zawołał: trzymajcie!

Wiemy jaki był skutek jego wołania; uciekająca kobieta schroniła się na los szczęścia pod opiekę doktora, a biegnący za nią Nuryn wstrzymał się dopiero przy drzwiach, za któremi znikła jego ofiara. — Zmęczony i osłabiony oparł się na poręczy, spojrzał nieprzytomnie w koło siebie i spytał: co się z nim stało? Rozpacz go ogarniała, że może ostatni raz widział tę kobiétę. To zdawało mu się niepodobieństwem. Chciał ją jeszcze zobaczyć, chciał rzucić się do nóg i prosić o przebaczenie, chciał się wytłomaczyć, że nie żadna brudna namiętność ciągnęła go do niéj, ale jakieś święte wielkie uczucie, którego nazwać nie umiał, chciał ją prosić, by nim nie gardziła, by mu wolno było ją widywać. — To postanowienie było tak silne, że aby je uskutecznić, gotów był odważyć się na wszystko. Postąpił więc ku drzwiom, na których była przybita tabliczka porcelanowa z napisem: Doktór R...... To nazwisko było mu dobrze znane, doktór był jego podwładnym w organizacyi. — Więc doktór znał tę kobietę, może to jego kochanka, kiedy z taką pewnością biegła po schronienie do jego mieszkania, więc inny człowiek cieszy się miłością téj kobiety, u któréj on chciał sobie tylko pobłażanie wyżebrać i kilka dobrych spojrzeń, coby go szczęśliwym uczyniły. — Bytność jéj w domu doktora zdawała mu się uwłaczającą jego własnéj godności, czuł się sam przez to dotknięty na honorze i urażony. Dla czego? Tego sam nie wiedział, ale go irrytowało i wściekało. — Namiętnie chwycił za klamkę i chciał wejść, gdy w tém doktór ukazał się we drzwiach. — Słyszeliśmy ich rozmowę, wiemy jaki był jéj koniec. — Juliusz Nuryn upadając ze schodów, uderzył głową o żelazną poręcz i skroń jego zakrwawiła się raną. Nie uważał na to, nie ten cios go bolał, ale ów, który zadano jego dumie. Być zepchniętym od rywala szczęśliwego, od podwładnego, zdawało mu się hańbą niezmazaną niczém, upokorzeniem strasznem. Gryżąc palce z bólu, przemyśliwał nad sposobami zemsty, pragnął zdeptać jak robaka tego, który poranił jego miłość własną, wzburzona głowa najszaleńsze tworzyła pomysły. Odłożył jednak na późniéj przez wzgląd na nieznajomą. Domyślał się, że kiedy jéj tak pilno było do matki, więc przed nocą jeszcze będzie musiała opuścić mieszkanie doktora, wahać się jednak będzie zapewnie wyjść, dopóki on tam stać będzie. — Wyszedł więc z kamienicy i przeszedłszy na drugą stronę ulicy, oczekiwał w ciemnościach, mając oczy wytężone w stronę mieszkania doktora.

Nie długo czekał, wnet na jasnéj sieni zaczerniły się trzy cienie, kobiety i dwóch mężczyzn. Któż był ten drugi? Nuryn niepostrzeżony zbliżył się ku nim. Twarzy drugiego mężczyzny dojrzeć nie mógł, ale widział metalowe guziki i błyszczące złote szlify. Obecność wojskowego w towarzystwie téj kobiety i doktora zastanowiła go mocno. Nie spuszczał ich z oka i trzymając się w pewnéj odległości, postępował za nimi. Naraz ci, których śledził, wsiedli do dorożki. — Nuryn w téj chwili obejrzał się, czy nie zobaczy drugiéj, któraby mógł zabrać dla siebie. Nie było. — A tymczasem dorożka ruszyła z miejsca. Nuryn jak tygrys raniony skoczył za nią i biegł szalonym pędem przez ulicę. Byłby niechybnie dogonił, gdy na skręcie w ulicę Chmielną, żołnierz stójkowy przytrzymał go, mając w podejrzeniu jego bieg pospieszny i pomimo jego oporu i szamotania się, zaprowadził go do cyrkułu, a lubo tam po małém wyjaśnieniu z jego strony uwolniono go natychmiast, jednak to mu się na wiele nie przydało, stracił bowiem ślad mieszkania nieznajoméj.

Zły i wzburzony wrócił do siebie. W przedpokoju przy dopalającym się ogarku świecy siedział oparty o ścianę jego służący i drzemał zwiesiwszy głowę na piersi. Służący miał na sobie długą żołnierską szynelę, z pod któréj sterczało drewniane szczudło. — Czytelnicy domyślą się zapewne, kto był ten żołnierz; trudniéj jednak domyśleć się w jaki sposób dostał się w służbę do Nuryna.

Jak słyszeliśmy, żołnierz postanowił sobie o żebranym chlebie puścić się na włóczęgę i szukać zgubionych śladów rodziny; liczył w tém wiele na szczęście, na Opatrzność. Pieniędzy, które mu ofiarował sługa jego nie tknął, uważał je jako pożyczkę, do któréj tylko w najgorszym razie udać się zamyślał; schował więc starannie tę trochę grosza, która może mu będzie potrzebną jako zapomoga dla jego rodziny, jeżeli ją znajdzie w biedzie i niedostatku. — Z tą myślą wędrując po wsiach i miasteczkach, doszedł aż do Warszawy. Tu postanowił dłuższy czas się zatrzymać, mając nadzieję, że może w tym tłumie wijącego się ludu rozpozna znajome twarze, które mu tak żywo stały w pamięci. Doszedł do miasta w roli żebraka, co jak wiadomo, nie jest dozwoloném w Warszawie, i nie wiedząc o niebezpieczeństwie, na jakie się naraża, wycią-

gnął rękę po jałmużnę do jednego z przechodniów. Przechodniem tym był Nuryn, który wracał zamyślony z jakiejś samotnéj przechadzki. — Wyciągnięta ręka żebraka ocuciła go z zamyślenia, spojrzał na ogorzałą twarz żołnierza, na jego potargany szynel i wyjmował dla niego jałmużnę. Ale w téj chwili stójkowy, który uważał tę scenę, zbliżył się i zaaresztował starego żołnierza.

Żołnierz jeszcze nie domyślał się dla czego i osłupiałym wzrokiem patrzał zdziwiony na stójkowego.

— Cóż ja zrobiłem, że mnie aresztujecie? — spytał.

— Żebrać nie wolno.

— Ależ to nie żebrak, to mój służący, któremu właśnie daję pieniądze na sprawunki — rzekł przytomny Nuryn. — Wasylu chodź.

Stójkowy spojrzał niedowierzająco na Nuryna i Wasyla, uwierzyć jednak musiał i cofnął się. — Stary kaleka poszedł za swym zaimprowizowanym panem. Gdy przyszli w ustronne miejsce, Nuryn zwrócił się do niego i rzekł:

— Teraz możesz iść gdzie ci się podoba. — Jesteś bezpieczny.

Żołnierz sztywnemi patrzał na niego oczami i nie ruszał się.

— Ale nie żebraj więcéj — dorzucił Nuryn — bo cię znowu zaaresztują.

— A cóż zrobię? — spytał żołnierz ruszywszy ramionami.

— Więc jesteś bardzo biedny?

Żołnierz kiwnął głową.

— I nie masz rodziny — dzieci?

— Nikogo.

Nuryn chwilę się zamyślał — potém rzekł:

— Jeżeli chcesz służyć u mnie i być wiernym — to chodź.

Od téj chwili żołnierz pozostał w służbie Nuryna z imieniem Wasyla. Służba nie była ciężka i dużo zostawiała Wasylowi wolnego czasu, którego używał na włóczęgę po całéj Warszawie dla odszukania swéj rodziny. Ta myśl stała się manią jego życia, z każdym dniem coraz silniéj go owładała, a kiedy znużony daremnemi poszukiwaniami, zwątpiały tracił nadzieję — to sny łudzące wracały mu ją znowu i gnały go do dalszéj włóczęgi. — Chodził po kościołach, po ogrodach, po ulicach, zaglądał do domów, czytał nazwiska mieszkańców w nadziei, że kiedyś trafi na ślad swéj rodziny. Nieraz miał chęć zapytać swego pana, czy nie słyszał co o niéj; ale Nuryn był zawsze milczący, nie lubiał kiedy mu przerywano pracę, kiedy ktoś chciał się z nim zapuszczać w dłuższą rozmowę. — Rozkazy jego były krótkie, stanowcze. — Jednego dnia przyszedłszy do domu, zawołał Wasyla do siebie, kazał mu palić w piecu, tymczasem sam chodził po pokoju, puszczając z fajki gęste kłęby dymu i wyrzucał z siebie krótkie zapytania.

— Wasyl, tyś za jakieś polityczne przestępstwo był wzięty do wojska?

— Tak panie, było to....

— Mniejsza o to. — Więc ty dobry Polak?

— Czyż mógłbym.

— Jesteś dobry Polak? — przerwał mu Nuryn — kochasz swój kraj?

— Tak.

— Chciałbyś go widzieć wolnym?

— Boże, któżby nie chciał, ale to próżne ma...

— Powstanie jest bliskiém. Wasyl, czy chciałbyś należeć do organizacyi.

Żołnierz osłupiał na tę niespodziewaną nowinę; choć o tém już dość wyraźnie rozchodziła się wieść po Warszawie, ale żołnierz nie znał nikogo, nie wiedział téż o niczém. — Nuryn inaczéj tłomaczył sobie to długie milczenie sługi.

— Nie chcesz? Może szynela moskiewska przerobiła twą duszę. Idź. Możesz mnie wydać.

Staremu żołnierzowi krew uderzyła do głowy z oburzenia; podnosił się z ziemi, oczy mu się zaiskrzyły, pięści zacisły i odezwał się:

— Choć jestem panie twym sługą, ale ci nie wolno znieważać mnie takiém przypuszczeniem.

Nuryn nie obraził się ani zmięszał tém hardém postawieniem się sługi, twarz jego zimna, blada, nie zmieniła wyrazu. Spokojnie zbliżył się do Wasyla i kładąc rękę na jego ramieniu, rzekł:

— Więc chcesz należeć?

— Duszą i ciałem.

— Wykonasz przysięgę, że wiernie wypełnisz każdy rozkaz rządu narodowego?

— Wykonam — rzekł Wasyl z gotowością i zapałem.

— To dobrze.

Na tém urwał rozmowę małomowny Nuryn, a następnego dnia zaciągnął swego sługę w liczbę spiskowych.

Było to właśnie na kilka dni przed owém zajściem z doktorem, po którém Nuryn tak wzburzony i gniewny wrócił do domu. — Wasyl czekając na niego, zdrzemnął się trochę. Łoskot nagle otwierających się drzwi, obudził sługę, zerwał się na równe nogi i stanął przed Nurynem. — Ten nie patrząc na niego, wszedł do pokoju i długo chodził tam i napowrót gryząc paznokcie i marszcząc brwi. Żołnierz stał przy drzwiach czekając rozkazów.

Nuryn spojrzał na niego ponuro i spytał cierpko:

— Czego stoisz.

Wasyl zamiast odpowiedzi, podał mu mały zwitek niebieskiego papieru.

— Od kogo?

— Od naszych.

Juliusz rozwinął papier, zbliżył się do lampy i przeczytał następujące słowa:

„W dniu wczorajszym odbyły się znowu liczne rewizje i aresztowania, policja moskiewska odkryła całą jednę gałąź organizacyi. Nie ma najmniejszéj wątpliwości, że denuncjacja wyszła z łona saméjże organizacyi; poszlaki pewne podają w podejrzenie doktora R. Poleca się więc okręgowemu Juliuszowi N. zwrócenia bacznéj uwagi na podejrzanego i dania o nim jako o podwładnym swojéj opinii. A jeżeli taż będzie potępiającą, w takim razie spieszne usunięcie niebezpiecznego indywiduum będzie staraniem rządu.

Juliusz zadrżał z radości przeczytawszy kartkę, która tak w samą porę przychodziła jego zemście na pomoc. Życie jego rywala było teraz w jego rękach, nie wahał się ani na chwilę z potępieniem go — zwłaszcza, że pozornie słuszność stawała po jego stronie. Co znaczyć miały tajne schadzki doktora z wojskowym, który w dość bliskich z nim zdawał się być stosunkach. Na tém jedném podejrzeniu osnuwał cały gmach domysłów; przypuszczenie rządu i jego własna nienawiść były dzielnemi robotnikami. — Spojrzał na zegarek, nie była jeszcze tak późna godzina; zapalił latarkę i wyszedł pospiesznie na ulicę.

Wasylowi rozkazał nie czekać na siebie.

Nad ranem dopiero wrócił; bezsenność i znużenie robiły twarz jego straszną i odrażającą; na śniadéj cerze siedziała trupia bladość, jakby kto stearyną pomazał bronzowy posąg. — Wszedłszy do mieszkania, zbudził Wasyla i kazał mu się prędko ubierać. — Gdy służący stanął przed nim i wpatrzonym w niego wzrokiem oczekiwał rozkazów. — Nuryn nie śmiał mu w twarz spojrzeć i spuściwszy oczy w ziemię, odezwał się urywanym głosem:

— Wasylu, czy pamiętasz przysięgę jaką uczyniłeś rządowi narodowemu?

— Pamiętam.

— Powinieneś być posłusznym jegó rozkazom.

— Wiem.

— Czy wiesz, gdzie mieszka doktor R.?

— Nie.

— Trzeci dom ztąd — z gankiem. Wchodzi się frontowemi schodami, drzwi są wprost schodów, na drzwiach tabliczka z jego nazwiskiem.

Przestał — żołnierz milczał uporczywie słuchając dalszych rozkazów.

— Nie słyszałeś? — spytał Nuryn niecierpliwie.

— Słyszałem. ale.....

— Doktór zdradził nas.

— Więc cóż mam mu powiedzieć?

— Masz go zabić — rzekł gwałtownie Nuryn i rzucił sztylet na stół.

— Ja tak nigdy nie zabijałem.

— Życie tego człowieka uczyni kilkadziesiąt familij nieszczęśliwemi.

Wasyl wziął żywo nóż i wyszedł.

Wiemy już jaki był rezultat jego wyprawy; wrócił z niéj do Nuryna czekającego na niego w niepokoju, wrócił z oczami mokremi od łez, wzruszony cały.

— I cóż?„ — spytał Nuryn, skoczywszy naprzeciw niego jak tygrys z roziskrzonemi oczami. — Czy już?

Wasyl pokazał mu nóż świecący, niezafarbowany, i rzucając go na ziemię, rzekł:

— Ja nie mogłem zabić tego człowieka — on nie jest tak złym.

— Psie jakiś — zakrzyczał rozwścieklony Nuryn, przyskakując do niego z zaciśniętemi pięściami.

Stary żołnierz spokojnie stał, ani drgnął powieką i poważnie patrzał na rzucającego się w gniewie.

— Panie, rzekł do niego tonem rzewnym — czy możecie na pewne przysięgać, że to ten człowiek was zdradził?

Słowa te jak zimna woda bryzgnęły na rozpaloną namiętnością zemsty twarz Nuryna; podważyło mu sumienie jak kamień grobowy, zpod którego ruszy się naraz robactwo.

— Cóż ci powiedział na swoje usprawiedliwienie ten człowiek?

— On się nie usprawiedliwiał, w oczach jego czytałem niewinność. Postanowiłem go ocalić na własną odpowiedzialność i ostrzegłem go o niebezpieczeństwie.

— Ty śmiałeś to zrobić? — Teraz jesteśmy zgubieni, ten człowiek poświęcił nas wszystkich swéj zemście. Precz podły gadzie z mego domu, którego przytuliłem na to tylko, aby kąsał. Precz!

To rzekłszy w furyi przyskoczył do starego kaleki i podniósł rękę do uderzenia. W téj postawie znieruchomiał — jakieś dziwne, niepojęte uczucie ogarnęło go — postać żołnierza miała w téj chwili wyraz tak uroczysty, poważny i groźny, że Nuryn zadrżał, ukorzył się przed nim ze wstydem. — Ręka opadła w dół, twarz oblaną rumieńcem odwrócił ku oknu i rzekł zmienionym głosem:

— Dobroć twoja Wasylu zgubić nas może. Ten człowiek bądź co bądź, musi zginąć. — Kiedy tobie brakło odwagi, znajdą się inni.

To rzekłszy, wyszedł z domu i nie wrócił aż późno w noc. C. d. n.

Jagiellonki Polskie.

W XVI. WIEKU.

(Ciąg dal.)

„Długo jeszcze po śmierci królowéj Barbary (pisze Wapowski) król Zygmunt nie mógł wstrzymywać się

od łez na jéj wspomnienie. Ale pragnienie zostawienia syna po sobie, bardziéj jeszcze niż chęć powrócenia matki sierotom Barbary, spowodowało wkrótce Zygmunta do przyjęcia drugiéj żony z rąk cesarza Maksymiliana.“

Była to aż nadto dobrze znana późniéj w dziejach naszych królowa Bona.

Z kolei więc przedstawia nam autor długoletnie życie i panowanie Bony i dzieje rodziny królewskiéj.

Zwyczajem dworów przedstawiano Zygmuntowi liczne partje do wyboru, było ich pięć: Eleonorę Austryjaczkę, Beatryksę portugalską i Bonę Sforza księżniczkę medjolańską — a w kraju rajono mu Annę księżnę mazowiecką, albo młodziutką jéj córkę. Zygmunt zrazu za zdaniem Senatu starał się o Eleonorę, ale to spełzło. Żupnik krakowski Boner przywiózł mu portret Bony, który mu się mocno podobał — następnie przez posłów cesarza odebrał jéj portret w imieniu matki z obietnicą posagu 200,000 czer. zł. W skutek tego Zygmunt wyprawił poselstwo do Włoch i polecił Bonerowi poczynić niektóre przygotowania do ślubu, to jest „aby atłasu karmazynowego, białego i czarnego, oraz aksamitu czerwonego i atlembasu karmazynowego na kilka par sukien z Wenecyi sprowadził“ i kupił pierścień za 200 lub 300 cz. zł. Posłowie odbyli uroczysty wjazd do Neapolu, gdzie Bonę z matką zastali. Na koniach poprzedzali księżniczkę na pięknym dzianecie w bogatych sukniach jadącą pomiędzy posłem cesarskim, a vicekrólem neapolitańskim; za nią jechały konno panny dworskie piękne i strojne. Po odbytych zrękowinach, darach, błogosławieństwach, wyznaczono z powodu zimna i utrudnionéj żeglugi odjazd do Polski na początek r. 1518. Tymczasem urządzono Bonie dwór, fraucymer z sześciu panien i dwóch starszych pań, a wyprawę wystawiono na widok publiczny. Posłowie polscy tak o tém donosili:

„Otworzono umyślnie owe skrzynie pozłociste na mułach wiezione dla pokazania ciekawemu zawsze a w rzeczach swoich chlubnemu i dziwiącemu się gminowi, sprzętów do Polski zgotowanych. Rzecz prawdziwa, że wielość szat i rozliczność, tudzież innych do służby stołowéj, do gotowalni i do ozdób pokojowych rzeczy przynależących, taka była i tak misternie sporządzona, iż jéj żadna księżna europejska wieku tego z zamęściem nie wniosła, ale tam złota i srebra nie widziano, albo lekko popstrzone i dla pozoru. Kredens nie nader bogaty, pasy złote ale nie ważne, obicia, szpalery, makaty, włoskiéj i flamandzkiéj roboty, jedwabne karmazynowe złotem przetykane jakie Włosi *Brocato ricco* nazywają. Wiele pawilonów i kotar łóżkowych ze złotogłowu. Bielizna przednia złotem haftowana. Co wszystko bawiło ciekawych przez całe dwa dni, a Polacy cieszyli się najwięcéj, że im skrzynię naładowaną sumą 60.000 złotych pokazano.“

We dwadzieścia lat późniéj Zygmunt w osobnym liście bronił Bony, o któréj opowiadano — że wyprawę po Barbarze sobie przywłaszczyła i poświadczał, że wszystko co ma, albo z sobą przywiozła, albo, jako małżonka najukochańsza od wdzięcznego małżonka w darze odebrała.

Dla pociechy króla Zygmunta donosząc mu o opóźnieniu przybycia młodéj małżonki, Ostroróg posyłał królowi miarę jéj w pasie i bucik jedwabny po kolana wysoki, a mistrzowskim pędzlem opisywał pełną uroku jéj postać:

„Co do piękności w niczém nie różni się od portretu, włosy ma śliczne jasno-płowe, kiedy (rzecz dziwna) rzęsy i brwi są zupełnie czarne, oczy raczéj anielskie niż ludzkie, czoło promienne i pogodne, nos prosty bez żadnego garbu ani zakrzywienia, lica rumiane jakby wrodzoną wstydliwością zdobne, usta jak koral najczerwieńszy, zęby równe i nadzwyczaj białe, szyja prosta i okrągła, pierś śnieżnéj białości, ramiona najudatniejsze, rączki piękniejszéj widzieć nie można. A wszystko razem wzięte, czy cała figura, czy każdy członek z osobna, tworzą najśliczniejszą i najpowabniejszą całość. Wdzięk w każdym ruchu wydatny a najbardziéj w mowie; nauka i wymowa nie taka, jaka jéj płci właściwa, ale prawdziwie zadziwiająca. Słyszeliśmy ją mowiącą po łacinie nie nauczoną, ale bez przygotowania, a świadczymy się Bogiem, iż w każdym okresie błyszczała najwykwintniejsza wytworność stylu. Od wielu lat znaliśmy włoską krainę, ale piękniéj tańcującéj pani nie znaliśmy dotychczas; którą to naukę tańca podają tu za wielkie pieniądze sprowadzeni mistrzowie.“

Miała ona wtedy lat 24. W połowie marca r. 1518 wyruszył orszak do Polski na Wiedeń, Ołomuniec, gdzie wcale nieznużona podróżą Bona prowadziła z biskupem ołomunieckim rozmowę po łacinie przy wielkiém zadziwieniu obecnych. Całą drogę witały ją nowe poselstwa, bogate dary, łańcuchy, wygodny powóz kryty szkarłatami a podbity zielonym adamaszkiem, aż 15 kwietnia wyruszył król w orszaku dla powitania jéj w Morawicy pod Krakowem na miejscu wysłaném suknem szkarłatném, gdzie rozbito namioty. Po mowach i ceremoniach, wszyscy konno, licznie i szumnie wyruszyli ku stolicy. W Krakowie wszystkie domy ubrano dywanami, ulice pełne ludu w świetnych strojach, a cudzoziemcy uderzeni byli pięknością kobiet polskich.

Ślub i koronacja odbyły się z ogromną świetnością. Bona miała na sobie suknię z atłasu gładkiego, turkusowéj barwy, powleczoną złotemi blaszkami, misternéj roboty. Tańce i zabawy odbywały się nazajutrz. Najprzód królowa z jedną panną z fraucymeru przetańczyła taniec włoski, potém Kazimierz margrabia z Anną mazowiecką taniec polski, potém dwaj posłowie cesarza taniec niemiecki, potém już mieszano tańce; a były

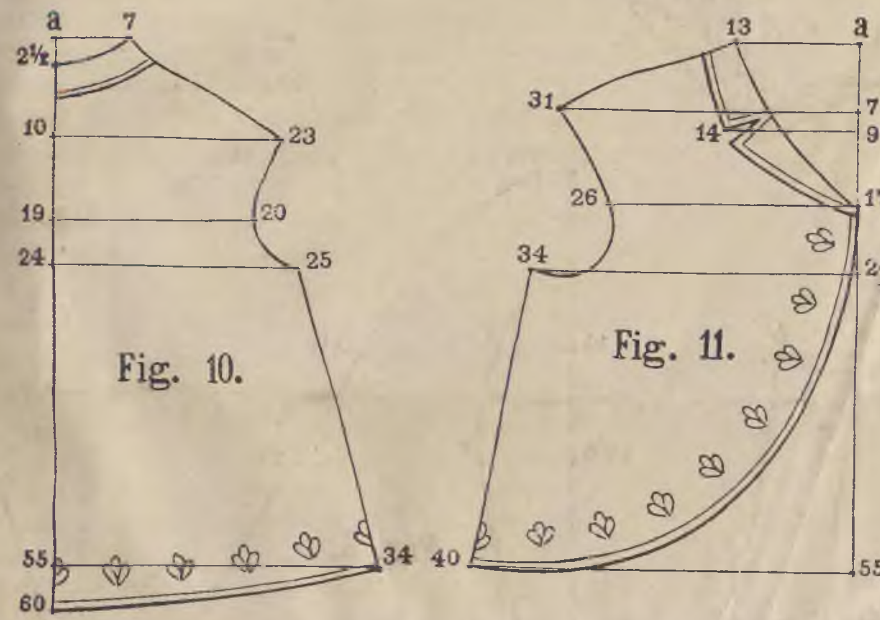
Planche I.

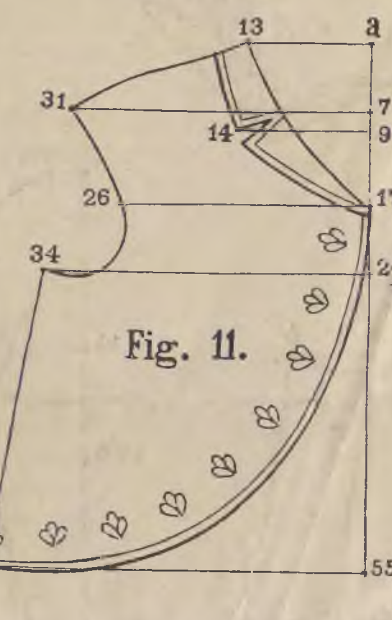
Fig. 18.

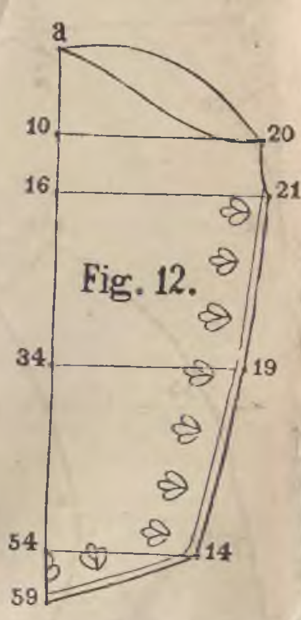
Fig. 19.

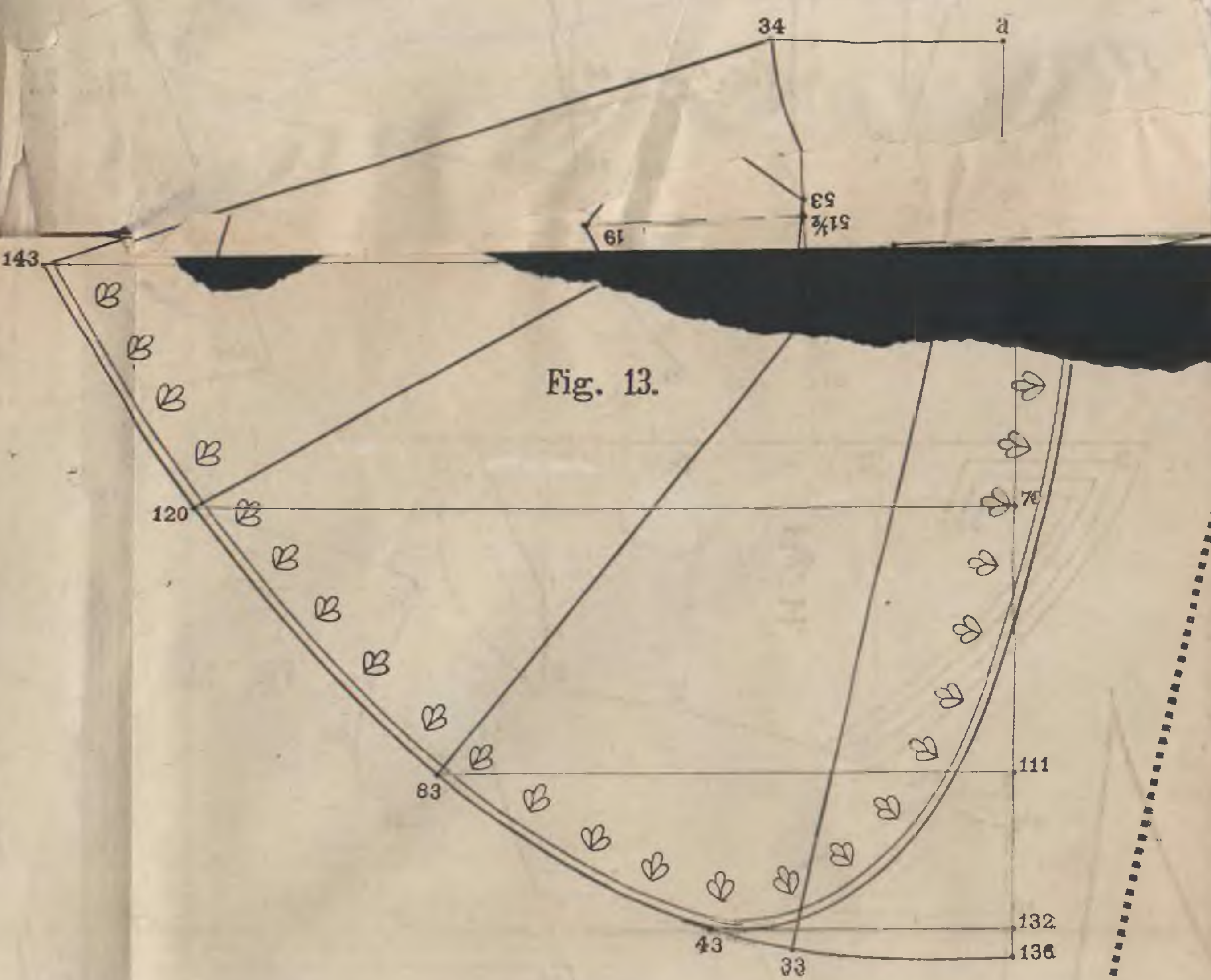
Fig. 20.

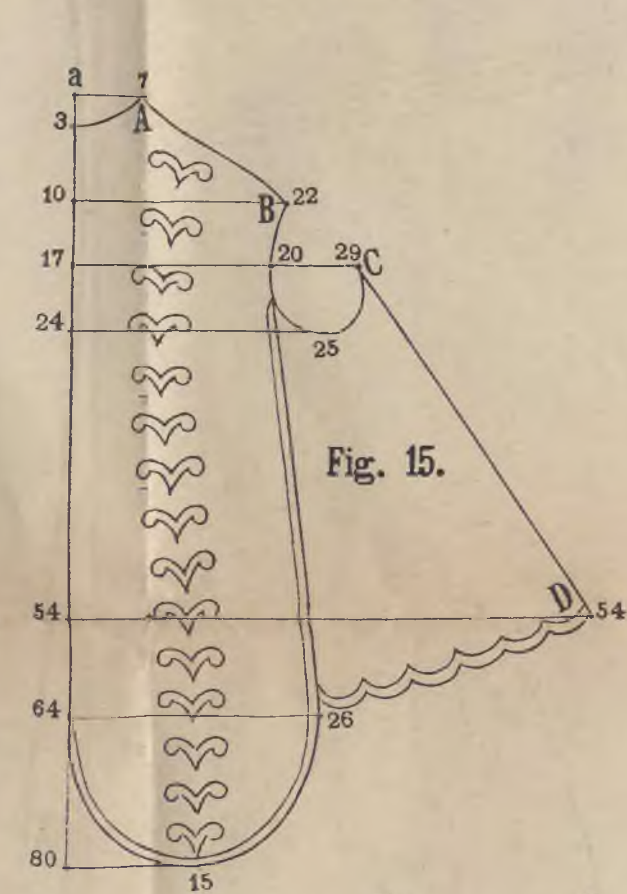
Fig. 17.

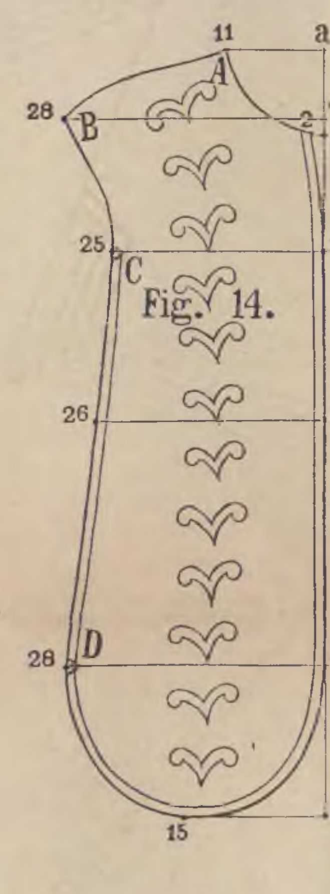


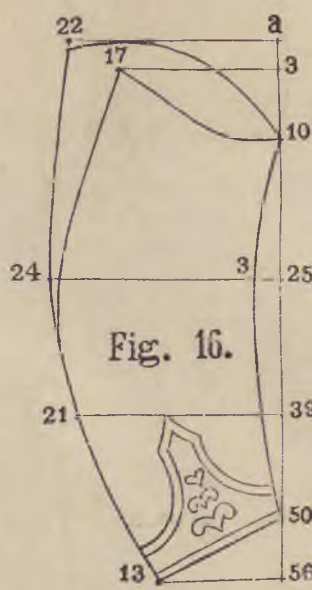


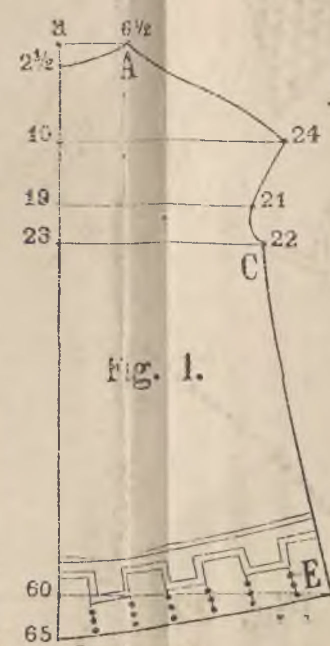


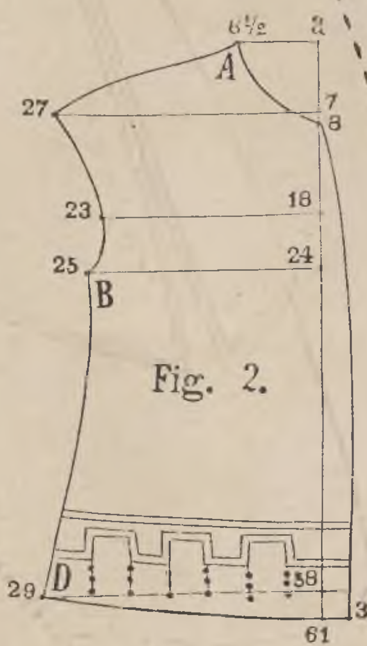


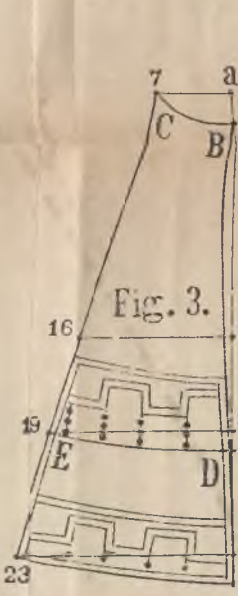


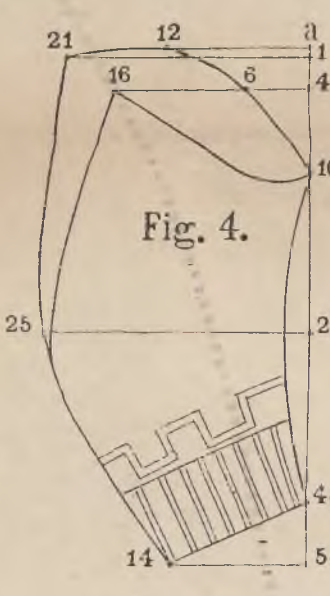


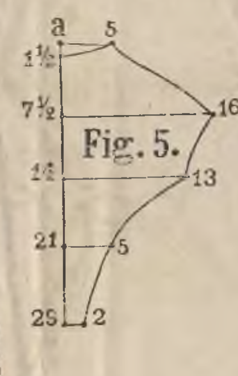


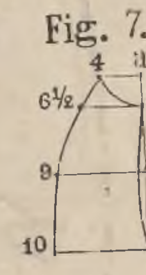


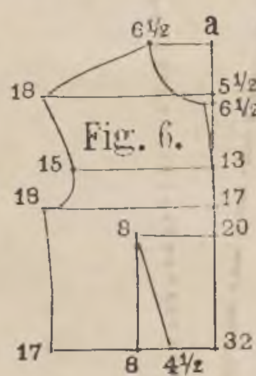


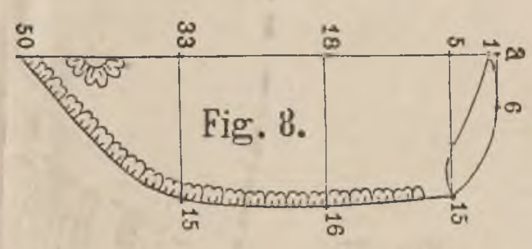












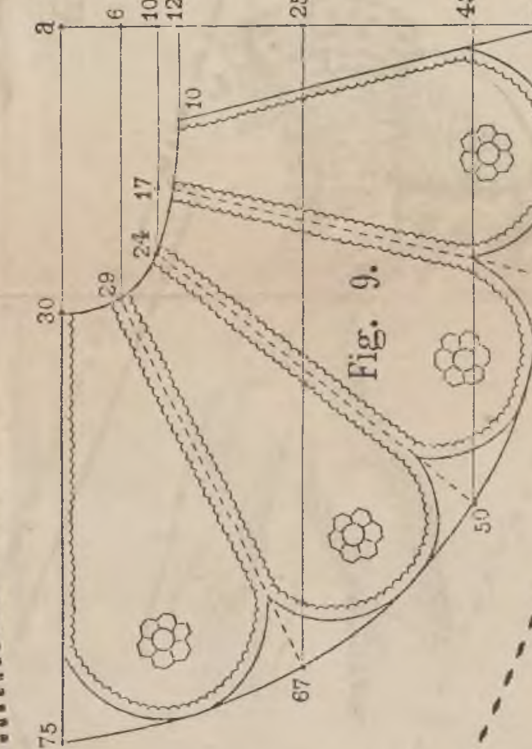


Planche II.

Fig. 20.

Fig. 23.

Fig. 21.

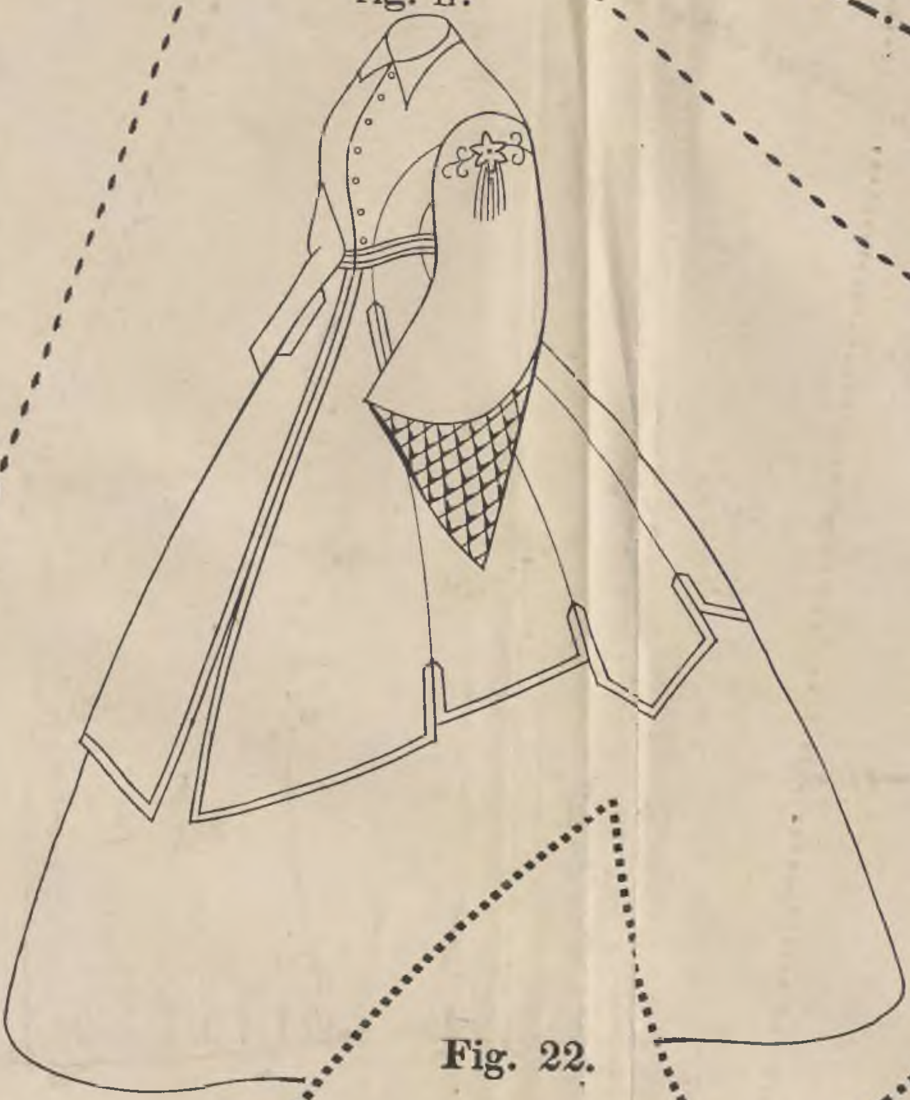

Fig. 11.

Fig. 7.

Fig. 5.

Fig. 1.

Fig. 6.

Fig. 3.

Fig. 2.

Fig. 22.

Fig. 8.

Fig. 9.

Fig. 14.

Fig. 13.

Fig. 12.

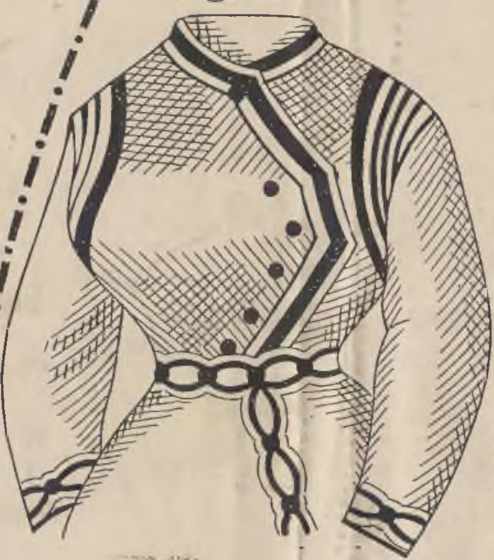

Fig. 24.

Fig. 10.

Fig. 29.

Fig. 26.

Fig. 27.

Fig. 15.

Fig. 19.

Fig. 28.

Fig. 16.

Fig. 18.

Fig. 17.

Fig. 25.

Fig. 30.

i ruskie, szkoda, że nie ma opisu jak te tańce się odbywały. Kilka dni trwały jeszcze turnieje, król zakochany przy każdéj sposobności składa małżonce prezenta, aż nareszcie rozjechali się goście Włosi, Niemcy, Węgrzy, Czesi, Polacy, Litwini, Rusini, Wołosi i Tatarzy.

Długoletnie było panowanie Bony, tradycja narodowa przeciwko niéj świadczy. Owładnęła króla, umiała sobie poradzić z panami, bo nie brakło pięknéj Włoszce na intrygach i pieniądzach, a pomagał jéj dwór złożony z włoskich syren i zauszników. Ale autor idąc z biegiem czasu, zaznajamia nas najpierw z losami królewskich dzieci.

Były na krakowskim zamku królewne, sieroty po Barbarze. Bona zaś powiła królowi córki: Izabellę, Zofią, Annę, Katarzynę, i syna Zygmunta Augusta. Dziatwa ta wzrastała w szczęśliwém rodzinném pożyciu. Toż po wielu latach pisze do siostry jedna z nich Katarzyna nieszczęśliwa króla szwedzka: „Wasza K. M. raczy dobrze pamiętać onę miłość naszą, jedna bez drugiéj nie szła tam, gdzieby jéj potrzeba było, ale wszystkie trzy zaraz gwoli jedna drugiéj.“

Królestwo oboje wyjeżdżali często w sprawach państwa, pozostawiając dzieci. Podczas takiéj jednéj nieobecności wydarzył się nieszczęśliwy wypadek. W r. 1536, 18 paźdz. w Katedrze Krakowskiéj panowały strach i milczenie. Ogień zajął się w pokoiku obok sypialni królewskiéj i aż do wieży Lubramki pochłonął wierzchnie gmachy wraz z dachami oprócz Kurzéjnogi. Upadając rynny i kominy przywaliły mnóstwo ratujących ludzi.

„Rzecz to okropna do opowiedzenia: potłuczone czaszki, zęby, ramiona, ręce, piersi, nogi, połamane kości, mózg wybiegły, krwią zalane miejsca gdzie były oczy; na niektórych ani znaku twarzy. Szczątki te zaniesiono na cmentarz, gdzie od wieczora do ranka leżały; nie było komu ich grzebać. Niektórych pół żywych zaniesiono do miasta; inni przybici, chodzą jakby pozbawieni rozumu; drudzy dymem i pracą znużeni, pokaszlują; inni patrząc się na to, pogrążeni są w żalu, kobiety opłakiwały mężów i synów. Cały niemal Kraków przybył na ratunek; ale że obawiano się zdrady, to jest wykradzenia korony i skarbca, nie wpuszczano do zamku aż dobrze po świcie. Były też na Zamku trzy królewne, które królowa zostawiła tam, jadąc z królem na Litwę. Oddalono je z zamku prowadząc przy pochodniach do domu wielkorządcy na rynku krakowskim naprzeciwko Świętego Wojciecha.“

Różne a dziwne były koleje tych królewiąt.

(Ciąg d. n.)

OBRAZY I OBRAZKI —
z tatrzańskiéj wycieczki.

(Ciąg d. nast.)

Słońce już zniżało się ku zachodowi, świerkowy las co się ciągnął nie daleko od nas, rzucał cień i chłód na polanę, przez którą szła ścieżka. Polana była nie skoszona, pełna kwiatów, około których brzęczały pszczoły. Nad nami podlatywały gierlandy komarów wsplatając się w długie wstęgi i zwijając znowu. Loluś z podniesioną głową, z otwartemi ustami robił nad niemi swoje uwagi i studjował je. — Na polanie dzwoniły owce, biały pies liptowski siedział poważnie u nóg małego pastuszka, który na gęśli (skrzypcach) o trzech strunach wygrywał monotonne tatrzańskie melodje.

— A daleko tu do Michnowéj? — spytałem malca.

— Je dyć nie preczki. Hajnok gdzie ten gaj zielony.

Rzeczywiście w gęstém otoczeniu drzew, które górale gajem nazywać zwykli, ujrzeliśmy zabudowania pani Michnowéj.

Umyślnie zaprowadziłem was tutaj piękne czytelniczki, aby wam pokazać to mieszkanie zamożnego górala, które jest jakby żywą tradycją dawnych szlacheckich dworków nie zakłóconych jeszcze pijatyką Augustowskich czasów, nie rozsentymentalnionych śpiewami o Filonie przy gitarze i księżycu. — Mieszkanie zamożnego górala w starsze przenosi nas tradycje. Od téj izby ubranéj w skrzynie pełne korali, futer i adamaszków, od komory zasobnéj w wędliny, miody i nabiał, od ulów w sadzie nakrytych słomą, wieje woń Piastowskich czasów. Wszystko tu proste a swojskie, pobożne i powabne.

To téż z pewném uszanowaniem weszliśmy w bramę, przy któréj warczał duży, kudłaty brytan. — Podwórko było wyłożone gładkiemi płytami kamiennemi w około przed domem na kamiennych wyszczerbanych schódkach siedziały dziewczynki ładnie postrojone w kwieciste spódniczki i grube korale; u progu siedziała gospodyni z książką na kolanach. Była to kobieta średniego wieku, wysoka, ściągłych i regularnych rysów, przybrana schludnie i po świątecznemu, czytała swoim dziewczynkom żywoty świętych. — Cały ten obrazek wyglądał jakby wycięty ze staréj księgi jakiéj. Wejściem naszém przerwaliśmy czytanie, kobieta przywitała nas uprzejmie i wprowadziła do chaty. Na niebielonych czystych ścianach wisiały obrazy, stare sztychy, mapy nawet. Przy drzwiach piękna rzeźbiona kropielnica. Również i pułki na talerze i stołki wysokie były misternie rzeźbione. — Skoro Loluś objawił gospodyni, iż jesteśmy głodni i spragnieni, poczęła się krzątać koło przyjęcia nas. W gościnności jéj nie było żadnego nadskakiwania, kłaniania, ale wielka uprzejmość połączona z taką godnością, że niejedna z naszych pań zazdro-

ściéby jéj mogła. Starła stół czysto, postawiła na nim dwie duże misy, nalała w jednę zsiadłego mleka ze śmietaną, nasypała w drugą ziemniaków, położyła chleb i miód, i rzekła uprzejmie:

— Jedzcie z Bogiem.

Zachęcać nie potrzebowała, wyposzczone żołądki i wyschnięte gardła były nam dostateczną zachętą. Uzbrojeni w drewniane łyżki przypuściliśmy szturm do mleka i kartofli i po niedługiéj utarczce zdobyliśmy pozycją tj. dotarliśmy do dna. — Panie rozumie się wcześniéj ustąpiły z pola walki i wyszły przed chatę pojąc się przeczystą wonią górskiego powietrza, przechadzając się lub rozmawiając z dziećmi gospodyni. Siedząc tuż przy otwartém oknie, usłyszałem ten malenki urywek z rozmowy.

— Profesór kaligrafii. — (Był to głos pani Pipczyńskiéj).

— Ha, nie będę opierać się przeznaczeniu, nie patrzę na stan, ale na serce.

Te sentymentalne słowa należały, jak się czytelniczki domyślą łatwo, do cioci.

Spojrzałem po izbie patrząc, gdzie jest bohater, którego losy ważyły się teraz za oknem. — Profesór już nie jadł, nie uważał za stósowne przy swojém stanowisku popisywać się zbytnim apetytem — to nie wypadało, stał więc na boku, oparty o ścianę i zamyślony gładził brodę. — Gdym przechodził koło niego, wziął mnie poważnie za rękę i odprowadziwszy na stronę, rzekł:

— Nie wiem czy wiesz, że mam stałe zamiary względem panny Pauliny. Dziś dowiedziałem się, że ciotka nie sprzeciwiałaby się temu małżeństwu, że mu jest przychylną...

— Co się tyczy małżeństwa z Paulinką? — spytałem dusząc z trudnością śmiech w sobie.

— No, ma się rozumieć! Człowiek z takiém stanowiskiem jak ja.

— O cóż więc chodzi?

— Zdaje mi się więc, że nie wypada, abyś tak ciągle chodził z panną, względem któréj ja mam stałe zamiary. Proszę cię o to.

— Ha, cóż robić, muszę ustąpić szczęśliwemu rywalowi — rzekłem z udaném pathos.

— Herciu! Herciu! — rozległ się głos na dziedzieńcu. Herciu na miłość Boską, gdzie Hercia? Herci nie ma, Hercia zniknęła — zawołała pani Pipczyńska. — A gdzie jest ten pan, co ją prowadził? I jego nie ma? Zniknęli oboje.

— Ależ niech pani dobrodziejka nie ma obawy, rzekłem uspakajając ją — minęły już te szczęśliwe czasy w których panny wykradano.

— Mój panie, tu nie ma żartów. Wychowałam córkę w najpiękniejszych zasadach.

— Jeżeli tak, to nie ma obawy, aby ich przez te pięć minut nieobecności zapomniała.

— W tém wszedł na podworzec przewodnik Herci, paląc najspokojniéj papierosa. Pani Pipczyńska poskoczyła ku niemu:

— Gdzie Hercia?

— Alboż ja wiem? Zostawiłem pannę Hermenegildę przy mleku i ziemniakach i odtąd nie miałem przyjemności jéj widzieć.

Na szczęście w téj chwili pojawiła się zguba, wychodząc za węgła domu.

— Herciu, gdzieś ty była? — spytała matka biegnąc ku niéj.

Hercia szepnęła matce odpowiedź do ucha, która jéj obawy zupełnie uspokoiła.

Podziękowawszy gospodyni za gościnne przyjęcie, za które żadnego wynagrodzenia przyjąć nie chciała, i obdarowawszy jéj dziatwę małemi upominkami, ruszyliśmy wskazaną przez nią ścieżką do domu. Przodem szedł profesór prowadząc w tryumfie Paulinkę i rozmawiając z nią o powołaniu człowieka.

Ja zostałem w tyle i nie mogąc patrzeć w błękitne oczka Paulinki, przypatrywałem się mrugającym gwiazdom na niebie, które w miarę ciemniejącego zmierzchu coraz gęściéj występowały na ciemno-szafirowych falach cichego nieba. — Nad Gewontem tliła się jedna jaśniejsza gwiazda i to tak blisko, iż zdawało się, że ktoś lampę zapalił na szczycie góry przed świętym obrazem. — Od téj gwiazdy mleczna droga rozlewała po niebie swoje jasne strugi. — Naraz z za szczytu Murania, który z gasnącym zachodem tracił ametystowe barwy i poczerniał, poczęła się wysuwać eteryczna purpurowa łuna, a nie długo za nią czerwono-złote czoło tarczy księżycowéj zajaśniało na szczycie jak ogromny pożar. — Głośne ach! przywitało ten wspaniały wschód księżyca, który podnosząc się coraz wyżéj purpurową barwę przemienił na szczero-złotą — a tę na jasno-srebrzystą. — Przy oświetleniu téj cudownéj lampy posuwającéj się zwolna po niebie towarzystwo nasze zsuwało stromą ścieżką na dół nie bez krzyku, obawy i przypadków. I tak Hercia, któréj pani Pipczyńska z obawy, aby moralnych zasad nie zgubiła wśród ciemności, kazała iść tuż obok siebie, oberwała mamie suknią; ciocię gałązka głogu długą szramą obdarowała na pamiątkę, a profesór dotknięty do żywego, że Paulinka głośno śmieje się z jego niezgrabności i częstych utykań, chcąc jéj pokazać odwagę i pewność w nogach, puścił się z nią z taką szybkością z ostatniego pagórka, że oboje wpadli w krzaki otaczające strumień.

— Woda — krzyknęła zadyszana trzpiotka, chwyciła się krzaków i puściła profesora, który jak żaba wpadł w wodę pluskając się i krzycząc przestraszony o ratunek. Strumień nie był głęboki i tylko jasne ubra-

nie profesora poniosło niejaką szkodę. — Paulinka patrząc na ztaplanego profesora, gramolącego się na brzeg, zanosiła się od śmiechu. — Awantura skończyła się têm, że mokry poszedł się suszyć, a my szli daléj wśród śmiechów i gwarnéj rozmowy. — Naraz między nasze gwary i śmiechy wplątały się urwane tony górskiéj muzyki, które co chwila wyraźniéj dolatywały do naszych uszów. Nie długo potém wyszedłszy z za drzew, ujrzeliśmy okna chaty jasno oświetlone i cienie głów poruszające się w takt muzyki.

Było to wesele, na które Franka z rana złorzeczenia i przekleństwa miotała.

Zbliżyliśmy się do chaty i stanąwszy za oknami przypatrywaliśmy się ciekawie weselnym godom. W izbie nie zbyt dużéj, słabo oświeconéj kagankiem natłoczyło się mnóstwo ludzi różnego wieku. Na skrzyniach, na łóżku siedziały stare baby jedna na drugiéj i śmiechem i oczami brały udział w zabawie, do któréj ich nogom był już wstęp wzbroniony. Za temi siwemi głowami i żółtemi twarzami wyglądały pyzate twarzyczki dzieci o jasnych włosach — z ustami otwartemi, z wybałuszonemi oczami. Koło pieca chichotały dziewczęta, między któremi można było rozróżnić pannę młodą i druchny po strojniejszém ubraniu głowy, szczérzyły zęby do zalotnych parobków, wstydały się i strzelały oczami zpod ramienia. — Czasem zamiast spojrzenia, kochanek odebrał tęgiego szturchańca bądź jako oświadczenie miłości i przypomnienia, bądź jako podziękowanie za zbyt śmiałe zalecanki. Koło drzwi pan młody brał w serdeczne uściski towarzyszy swego ś. pamięci kawalerstwa i w kieliszku szukał odwagi do małżeńskiego pożycia. — Amatorowie tańca i muzyki skupili się koło dwóch grajków i basisty siędzących pod oknem — tak, że dla tańczących ledwie parę kroków zostawiono miejsca wolnego. — Dla górala jednak jest to wystarczającém; taniec jego nie jest rozhulaniem się, ale raczéj popisem i polega na têm, że tancerz na jednêm miejscu drepta i przebiera nogami w takt muzyki podrzucając się w górę od czasu do czasu i bijąc się rękami po łytkach i piętach — tanecznica zaś kręci się jak fryga na około niego dopóki mu nie przyjdzie ochota odpocząć trochę; wtedy klaszcze w ręce — ona przybiega do niego, chwytają się za ręce, zakręcą się kilka razy jak wiatr na rozstajnych drogach i kończą taniec. Tę monotonność tańca weselszy parobek ożywia krzykliwym śpiewem lub przeciągłém, silném gwizdnięciem. — Przyznać trzeba, że mimo zwinności ruchów i pięknéj postawy tancerzy, góralski taniec niemiłe robi wrażenie już dla tego samego, że w nim nie wszyscy udział biorą, ale pojedyńczo się popisują. Przypomina to niektórych kawalerów na miejskich balikach, którzy kosztem nudów całego towarzystwa popisują się z półgodzinnemi solami w mazurze, pisząc po posadzce rozmachanemi nogami przeróżne zygzaki i wykrętasy kaligraficzne. Taniec jest rodzajem szału, upojenia — musi więc ogarnąć wszystkich, nie zostawiać nikogo trzeźwym i rozważnym, bo wtedy w oczach tych staje się śmiesznością, dziecińственem. Tak się ma i tutaj.

Jeżeli o tańcu góralskim tak niepochlebne musiałem dać zdanie — to nie o wiele lepsze dać mogę o muzyce. Próżnobyś tam chciał dopatrzeć jakiéj melodyi. Parobek staje przed skrzypicielami, zanuci im jeden wiersz jakiéj piosenki, skrzypiciele chwytają na struny tych kilka urwanych tonów i powtarzają je ciągle z nudną jednostajnością, wybijając takt nogami. Więcéj rozmaitości mają w sobie piosenki śpiewane po halach a kończące się zwykle przeciągłém hukaniem, którego echo długo rozbija się po skałach. Najwięcéj jednak podobały mi się melodje zarwane z węgierskiéj strony, w których smętny charakter słowiańskiéj muzyki nabiera pewnéj dziarskości i buńczuczności pod ostrym akcentem madziarskim. — Taką pieśń śpiewała rumiana druchna młoduchnéj (panny młodéj) córka wyrobnika z kuźnic zakopańskich:

Oj ty Jaśku chłopczyno
Uciekasz nam z dziewczyną,
Porwałeś jéj wianeczek
Uwity od dziewczek.

Oddajcież nam Halinę,
Oddajcież nam dziewczynę,
Oddajcież nam drużbowie
Z wianuszeczkiem na głowie.

Na to stare swachy, co na skrzyniach przypijały do siebie, poczęły zawodzić smętnie:

Żegocze sroczka, żegocze,
Rozplatajcie Jagusi warkocze,
Zielona rutka, żółty kwiat,
Już ci się Jaguś, zmienił świat.

Potém otoczyły młoduchnę, która przy tym rzewnym obrzędzie głośnym zanosiła się płaczem. A drużki przez ramiona bab starych zaglądały na nią i nuciły:

Będziesz się ty nieraz oglądała
Na tę chatę, co cię wychowała,
Na tę ścieżkę patrzeć pokryjomu
Co prowadzi do matusi domu.
Hu, ha!

— Jakie to piękne te pieśni weselne, a jakie rzewne — odezwała się do mnie Paulinka. Jaka szkoda, że z naszych obrzędów weselnych wyrzucono śpiewy, straciły przez to wiele na uroczystości. — Taka pieśń drużek musi długo brzmieć w uszach panny młodéj.

— To pewna — odpowiedziałem — bo wiejska dziewczyna wychodząc za mąż, traci swobodę, wolność i zaprzęga się do twardéj pracy, to téż wspomnienie panieństwa zawsze jéj miłém. A u pani nie wiem czy coś podobnego miałoby miejsce. Panie idąc za mąż, zyskujecie wolność, przestajecie uczyć się, słuchać.

Za te słowa prawdy dostałem klapsa w rękę i pogróżkę paluszkiem.

— Na czém ona siedzi? — spytała znowu po chwili Pawcia.

— Jakto: na czém?

— Widać pod nią coś żółtego.

— To snop zboża symbol, zamożności gospodarskiéj. O! już wstała z niego młoduchna z oczami świecącemi od łez, z rozpuszczonemi włosami i w czepcu na głowie. Młode drużki dobijają się, która pierwéj usiędzie na jéj miejscu. To obawa staropanieństwa i zabobon stworzyły ten zwyczaj. W mieście panny mają inne zabobony.

— Ciekawam bardzo jakie?

— Róż, bielidło i odejmowanie lat.

Paulinka dała mi oczami znak surowy, abym milczał. Jeszczem nie zrozumiał co to ma znaczyć, gdy za sobą usłyszałem echo, ale dobitnie powiedziane słowo impertynent. — Obejrzałem się. Pani Pipczyńska i ciocia stały tuż za mną — byłem zgubiony. Poczciwa Paulinka usiłowała wydobyć mnie z tego kłopotliwego położenia, zagadując to i owo.

— Panie, cóż to ma znaczyć, że pan młody odwraca się od swéj żony, jakby jéj niechciał? A to gbur jakiś.

— Jest to zwyczaj, że pan młody i drużbowie narzekają na swaty, że im pannę młodą oszpecili, że pierwéj była piękniejsza. — Za chwilę jednakże zobaczysz ich pani w zgodzie. Oto drużba bierze ją do tańca: zaczynają l a c h a.

— Co to l a c h?

— To rodzaj naszego krakowiaka.

Pan młody spostrzegłszy nas przez okno, wyszedł i nuż kłaniać się i prosić, byśmy mu téj hańby nie robili i nie gardzili jego chatą. Weszliśmy więc na tak serdeczne i usilne prośby; tylko pani Pipczyńka z powodu złego (jak się wyrażała) odoru, została za oknem z Hercią. Paulince i cioci zrobiono miejsce na ławie tuż przy muzyce. Nie długo jednak zostawiono je w spokoju. Jakiś dziarski parobczak stanął przed Paulinką i poprosił w taniec. Nie mogła się wymówić. Ja także obejrzałem się ku piecowi szukając sobie tanecznicy między dziewczętami, które przedemną zasłaniały twarze chustkami.

— Je, dyć, czemuż nie hulacie. Kiedy ano panienka już przebiera Lacha? — spytała mnie najbliżéj stojąca dziewczyna. Spojrzałem na nią. Była nie duża, ale śmigła, zwinna i kształtna, oczy niebieskie, filuterne i śmiejące się, ząbki białe i równe, a twarz zdrowym rumieńcem ożywiona. Zpod czerwonéj chustki wymykały się jasne warkocze z czerwonemi wstążkami.

— A pójdziesz ze mną Lacha?

Poczęła się wahać i niby drożyć.

— Ze, idźże Hanka, namawiały ją inne popychając.

— Więc ci Hanka?

— Hanka Sierocka — odpowiedziały za nią inne.

Wziąłem ją za rękę i pociągnąłem w taniec wokoło. Czasami zatrzymywaliśmy się przed muzyką ze śpiewem. — Gdyśmy tak raz stanęli — na ciemném tle okna ukazała się dzika ponura twarz młodego górala, zacieniona szerokim okapem kapelusza. Za szerokim pasem miał nóż. — Między gośćmi zrobił się szmer ponury — wtedy panna młoda podniosła także oczy, spojrzała w okno i krzyknęła przeraźliwie:

— Jonek! (Ciąg d. n.)

Nieodgadniona tajemnica.

(W y p a d e k p o d ł u g u s t n e g o p o d a n i a.)

PRZEZ

Paulinę Wilkońską.

Przed laty wielu, za panowania Stanisława Augusta — rok niewiadomy — w Zamościu, zajechała przed kościół bernardyński, z rana w czasie mszy ś. paradna kareta. Powóz — czwórka piękna, a może i szóstka, w pozłacanym zaprzęgu, i służba w sutéj liberyi ogólną budziły ciekawość.

Przechodnie zatrzymywali się skupieni i patrzeli. Z karety wysiadł pan poważny — a za nim wysadzono młodą i piękną pannę. Oboje byli po podróżnemu ubrani. Panna trzymała w ręku aksamitny worek, zwany wówczas *à la Pompadour*. Dzisiaj nazwanoby go *sac de voyage*.

Podróżni weszli do kościoła. A ciekawa gawiedź rzuciła się ku służbie, zapytując:

— Cóż to za pan?

— Pan kasztelan — odrzekł galonowiec dumnie.

— A z daleka?

— Ot z daleka.

— I to jego córka?

— Naturalnie! zaśmiał się galonowy, i odwrócił pogardliwie.

Tymczasem pan kasztelan — przyklęknął przed wielkim ołtarzem, a obok i panienka. Pan kasztelan podniósł się po chwili i usiadł w ławce opodal. Panna złożyła dłonie, pochylona kornie — i zdawało się, że całkiem zatonęła w modlitwie.

Msza ś. się skończyła. Pan kasztelan wyszedł z kościoła. Panna klęczała i modliła się ciągle. Kilku ciekawych pozostało, patrząc się na nią — i co stanie się daléj. Wreszcie sługa kościelny chciał zamknąć

przybytek Boży — przystąpił do niéj z ukłonem i poszepnął, że czas wyjść z kościoła.

Panna zadrgnęła — obejrzała się — podjęła swój *pompadour* — skłoniła głowę na stopniu ołtarza i przeżegnawszy się, powstała. Przemknęła szybko przez kościół — a gdy przed nim stanęła, obejrzała się za karetą — któréj nie było, bo odjechała z kasztelanem, jak to widzieli ciekawi.

Panna raz wtóry osłupiałym obejrzała się wzrokiem — pobladła jak mara — i krzyknęła przeraźliwie:

— Odjechali mnie! — załamała ręce i padła jak nieżywa.

Podniosły ją nadbiegłe kobiety — i zaniosły omdlałą do pobliskiego klasztoru. Jedna z nich podjęła także i oną aksamitną torebkę. Zakonnice troskliwém otoczyły ją staraniem i wszelkich użyto środków, by jéj życie przywrócić. Odzyskała je — ale gdy oczy otworzyła, poczęła krzyczeć, rzucać się — rwała sobie włosy — i coś tam po francuzku wołała.

— Jéj pomięszały się zmysły — wyrzekła przełożona — przywołajcie doktora!

Pobiegli zatém po miejscowego lekarza.

Nieznajoma rzucała się ciągle — mówiła coś to po polsku, to po francusku — ale wszystko bez związku.

Nadszedł doktór i uznał, że biedna ma pomięszanie zmysłów. Od kiedy wszelako, czyli to od dawniéj, lub téż od chwili gdy się opuszczoną ujrzała, powiedzieć nie umiał.

Poczciwe zakonnice czuwały przy niéj i otaczały ją — przy pomocy lekarskiéj — pieczołowitością wszelką. Zwolna szał jéj złagodniał — ale pomięszanie zostało.

Chciano czegoś dowiedzieć się o niéj, i otworzono *pompadour*. Znaleziono w nim nieco pieniędzy — lecz mało — i trochę cienkiéj bielizny, oznaczonéj koroną bez cyfry wszelako.

O kasztelanie nikt nic nie wiedział. Ciekawi wiedzieli tylko, że kareta Lubelską bramą wytaczała się z miasta. W którą wszelako podążyła stronę, o tém nikt nie wiedział.

Władze miejscowe — niby to dowiadywały się na wszystkie strony — zapytywano — ogłaszano — lecz tajemnicy nie wykryto, a kasztelanka — jak ją nazywano powszechnie — pozostała w klasztorze pod opieką zakonnic. Zwolna stała się spokojną zupełnie. Mówiła zwykle nie wiele — i nic téż z niéj wybadać nie było podobna. Pisywała często listy jakieś — bez związku i myśli — po polsku i po francusku, ale nigdy żadnego nie wymieniła nazwiska ni téż imienia. Grywała na organach i śpiewała głosem nader dźwięcznym, a uczonym nawet. Nigdy nikomu nie zrobiła przykrości, nie swarzyła się nigdy — nigdy podrażnienia nie okazała. Uśmiechała się rzadko. A lubili ją wszyscy.

Gdy po roku 1815 — nie pomnę kiedy — zakonnice z Zamościa do Szczebruszyna przewiezione zostały — zabrały z sobą i kasztelankę — podstarzałą już znacznie.

Niezadługo potém przybył do Szczebruszyna aptekarz nowy — i przedstawił się ksieni z interesem jakimś. Był to młody jeszcze mężczyzna. Kasztelanka zobaczyła go przypadkowo — krzyknęła przeraźliwie: „Karol!“ — i zemdlała. Znać jakieś zabolało ją podobieństwo. Poczém znowu spokojną zupełnie była, i już nic nie wydarzyło się podobnego.

* * *

W roku 1850 byłam przez czas dłuższy w Zamościu — i opowiadano mi onę smutną powyższą historją, któréj z wielkiém słuchałam zajęciem.

Pani K. — która mi o tém najwięcéj mówiła, była na pensyi w Szczebrzeszynie i znała kasztelankę. Ta ostatnia mogła mieć wtedy lat przeszło siedmdziesiąt — a w rysach jéj i oczach szafirowych, pozostały się jeszcze ślady dawnéj piękności. Była nie wysoką i szczupłą — ruchów nader żwawych. Zaczepiona, odpowiadała. Obłąkanie jéj żadnéj nie ulegało zmianie. Wychodziła wszędzie sama i powracała regularnie. Brała od przekupek bułki i owoc. A nazajutrz albo sama odnosiła pieniądze, zażądawszy ich od przełożonéj — albo téż odesłano dług przez nią zaciągnięty. Bułki i owoc lubiła biednym rozdawać dzieciom.

W Szczebrzeszynie, jak dawniéj w Zamościu, ogólne sobie zjednała współczucie.

Umarła w roku 184 . . . . — nie pomnę którym. A tajemnica jéj wraz z nią do grobu wstąpiła.

Załączone opowiadanie jest zupełnie prawdziwém — tak przynajmniéj posłyszałam je z ust wiarogodnych w Zamościu. Może ono posłuży do poruszenia i wykrycia zajmującéj tajemnicy. *P. Wilkońska.*

TEATR. *(Uczniowie ze szkoły Karola. — Bezczelni. — Ryszard III.)*. — Trzy te nowości widzieliśmy na scenie naszéj w przeciągu niespełna dwóch tygodni. Pierwsza jest utworem Laubego. Podobała się bardzo. Nie mogła jednak budzić u nas tego zapału, jaki wywołała w Niemczech. I bardzo naturalnie. Pominąwszy bowiem jéj pamiątkową wartość jaką ma, zestawiając z archeologiczną dokładnością wszystkie szczegóły odnoszące się do młodości Szyllera — jako dramat jest za dziecinna, a szczególniéj dla nas Polaków za sentymentalna, a owe efekta sceniczne jak uwięzienie Szyllera, i inne grożące mu niebezpieczeństwa tracą na sile, gdy każdy przychodzi na sztukę z wiadomością o jéj zakończeniu. Dla nas, którzy nigdy zbytnie nie chorowaliśmy na sentymentalizm, a romantyczną gorączkę przebyliśmy dość prędko i bez złych następstw — ten Szyller Laubego myślący ciągle o sobie, rozpaczający tylko nad swojém nie-

szczęściem i przy każdém niepowodzeniu wołający: „biada ci ojczyzno moja!“ jest trochę za tkliwy i dziwi nas dla czego Karola nazywają tyranem, despotą, kiedy dziś pierwszy lepszy z naszych krytyków nie inaczéj zapatrywałby się na zbójców. — Dość tutaj przypomnieć sobie, co p. Małecki powiedział o Kordyjanie Słowackiego, który przecież ma o wiele naturalniejsze i bardziéj usprawiedliwioną podstawę. — Po cóż nam więc groźnéj postaci księcia Karola, jeżeli p. Małecki wygodnie zastąpić go może? Te wszystkie powody osłabiają bardzo w naszych oczach wrażenie sztuki, zwłaszcza, że w niéj oprócz wybitnych postaci księcia Karola i samego Szyllera inne są albo mdłe i niewyraźne lub dla nas trochę niezrozumiałe, a więc zakrawają na karykatury. Do pierwszych policzyć trzeba Rocha i trzy postacie kobiece; do drugich Bleisztifta i jen. Rieger. Tylko więc o grze tych dwóch pierwszorzędnych postaci możemy tu coś powiedzieć. Pan Rapacki wystudjował w najdrobniejszych szczegółach despotę ogładzonego powierzchownie politurą francuską, człowieka formy i starego porządku. Scena z żoną w akcie IV. a potém z Szylleren należała do najpiękniejszych ustępów gry jego — a była zarazem najpiękniejszym ustępem dramatu. Tylko człowiek ocierający się o dwór mógł zapisać rozmowę Eleonory z ks. Karolem, — a scena z Szyllerem lubo przypomina Filipa i Pozę — jest najżywszą i najefektowniejszą w dramacie Laubego. — Pan Ładnowski (syn) oddał z wdziękiem postać poety; szkoda tylko, że nie zrobił się do niego więcéj podobnym przez jasne włosy i blado-różową cerę twarzy. Nie szło tu o samą dokładność historyczną, ale o to, że tego rodzaju charakteryzacja bardziéjby harmonijowała z mięką i sentymentalną naturą poety. — Również zarzucić musimy panu Ł. nie zbyt dokładne wyuczenie się roli, szczególniéj podczas deklamacyi wierszy. Mógłby pan Ł. na swoje usprawiedliwienie jak każdy z naszych artystów, przytoczyć brak dostatecznego czasu, a my musielibyśmy uwzględnić to usprawiedliwienie, jednak mimo to trudno nam pozbyć się przykrego wrażenia, jakie robił na nas Szyller czekający, aż sufler mu podpowie jego własne wiersze.

Nierównie szersze pole do popisu nastręczyło artystom naszym druga sztuka: „Bezczelni“ Augiera, tłomaczona przez p. Karola Ch. Dziwnego doznała ona u nas powodzenia. Publiczność słuchała jéj bez zapału, po skończeniu sztuki rzadkie oklaski słyszeć się dały, a jednak gdy ją w kilka dni potém powtórzono, teatr był przepełniony. To najlepszy dowód, że komedja ta ma ulotną, wewnętrzną wartość, a nie działa na oczy ale na duszę, nie wywołuje chwilowych oklasków, ale budzi silne zajęcie. I rzeczywiście z wielkiém zajęciem przysłuchiwaliśmy się jéj do samego końca, a dość długie dyjalogi nietylko nie nużyły, ale zaostrzały ciekawość. „Bezczelni“ nie jest to komedja w ścisłém znaczeniu tego słowa, gdzie cała akcja obraca się koło jakiegoś zdarzenia, plącze się w intrygę i rozwięzuje pomyślnie w ostatnim akcie; jest to raczéj studium pathologiczne. — Autor wziął część zgangrenowanego społeczeństwa i odbywa na niéj anatomiczny rozbiór z głęboką znajomością — a w całéj sztuce najwięcéj nas zajmuje gra charakterów. Przypatrzmy się im bliżéj.

Vermouillet bankier brzydkiemi spekulacjami robi majątek, aby (jak sam mówi), mógł uczciwie żyć na przyszłość, widząc jednak jak nisko upadł przez to w opinii postanawia opuścić Francją. Ale rozmowa z Margrabią d' Auberive zmieniła jego postanowienie. Margrabia mówi mu: masz majątek, masz więc siłę w ręku, którą działać możesz; nie spuszczaj oczów przed opinią, nie rumień się, a opinia przed tobą się ukorzy; bądź bezczelnym. Radę tę daje Margrabia nie przez żadną przychylność dla oszusta, owszem przez nienawiść i pogardę tego społeczeństwa, które odsunęło na bok arystokracją rodu, by na jéj miejsce postawić arystokracją pieniężną. — Stary magnat lubuje się w spodleniu moralném téj klasy ludzi, zwyciężony patrzy z upodobaniem na upadek zwycięzców. — Rada Margrabiego skutkowała — Vermouillet kupuje dziennik „Głos sumienia“ i jest panem opinii, któréj się lękał niedawno; a do pomocy dobiera sobie literata — cynika, ohydną figurę mięszaninę rozumu i podłości, Giboyer'a. Chcąc jeszcze lepiej postawić się w opinii i interesach majątkowych umyśla ożenić się z młodą córką bogatego bankiera Charier'a, który również nieczystym sposobem przyszedł do majątku, ale czas zatarł tę skandaliczną sprawę nie tylko w pamięci ludzi, ale i w pamięci samego Chariera tak, iż ten uwierzył w swoję nieskazitelność. — Aby pozyskać serce młodéj panienki przebiegły Vermouillet używa do tego Margrabiny d' Auberive. — Margrabina jest siostrzenicą, a razem żoną Margrabiego, ale go porzuciła dla miłości młodego publicysty p. de Sergine. Świat wyższy patrzy przez szpary na ten stosunek, który miłość usprawiedliwia w jego oczach. Margrabia daje żonie utrzymanie, aby mogła prowadzić dom odpowiednio do imienia które nosi. Pomimo to Margrabina nie jest szczęśliwą w tym stosunku — de Sergine kocha córkę Chariera i tylko wzgląd na margrabinę wstrzymuje go i przykuwa do dawnego błędu. Margrabina jest nieco znudzona tym ostudzonym stosunkiem z młodym człowiekiem; ale go zerwać nie może, by nie upaść nisko w oczach opinii. Cały więc stosunek tych ludzi do siebie jest brzydki, obmierzły, bezczelny. — Do téj to Margrabiny udaje się Vermouillet oddaje jéj pieniądze, które straciła była w jego banku i prosi ją aby użyła swego wpływu jaki ma na Chariera i jego córkę i pomogła mu do ożenienia, które go najszczęśliwszym z ludzi uczyni. Margrabina chwilowo wierzy, ale zwąchawszy brudne za-

miary oszusta zrzuca mu pod nogi zwrócone jéj pieniądze i pierwsza odradza Klementynie Charier to małżeństwo. Rozgniewany tém Vermouillet umieszcza w swoim dzienniku paszkwil na Margrabinę. To jednak sprawiło przeciwny skutek, bo Margrabia występuje w obronie honoru swéj żony, godzi się z nią i wyjeżdża do Włoch, przez co rozwięzuje ręce panu de Sergine, który teraz oświadcza się o rękę Klementyny i otrzymuje ją.

Ta jest mniéj więcéj fabuła komedyi; zajmuje ona jednak jak powiedziałem, podrzędne stanowisko, trzeba jéj prawie szukać i zdaje się służyć tylko do połączenia dyalogów, w których autor rozwija głęboką znajomość społeczeństwa i mistrzowsko kreśli pojedyncze typy. Taką postacią jest np. Margrabia d' Auberive, którego pan Rapacki oddał znakomicie. W każdym jego ruchu, słowie, że nie powiem w każdym członku, znać było nie spożytą dumę i pogardę społeczeństwa wśród którego żyć mu przyszło. Raz tylko wychodzi z tego dumnego spokoju, gdy słyszy z ust Giboyera proroctwo, że nastanie arystokracja intelligencyi, panowanie rozumu. Dla czego. „Bo wtedy upadek staréj szlachty byłby usprawiedliwiony.“ Szkoda tylko, że to proroctwo wychodzi z ust tak skalanych, przez co traci na sile i wartości. Giboyera grał p. Benda, grał go bardzo dobrze szczególniéj tam, gdzie szło o uwydatnienie obrzydliwego cynizmu, dla którego nie ma nic świętego; mniéj dobrze tam, gdzie chciał rozśmieszać. Tego rodzaju spodlone indywidua jak Giboyer mają na tyle rozumu, że czują swój upadek w chwilach samotnych rozmyślań plują sobie w twarz, brak im tylko siły woli by wycofać się z téj drogi spodlenia. Tacy ludzie nie sadzą się nigdy na to, aby być śmiesznymi. Pani Modrzejowska (Margrabina) w nie wielkim zakresie swéj roli zrobiła ogromnie wiele. Jak plastycznie umiała w rozmowie z de Sergine uwydatnić każdém słowem, każdym ruchem nudę, niezadowolnienie, jakiego doświadczać w końcu musi kobieta w nieprawych związkach. A jak nagle ta twarz ożywiła się w scenie z młodym Charierem, takiego blasku i kokieteryi nabrały oczy, zalotnéj Margrabiny wobec tego, którego kosztem chce zgalwanizować ciężką atmosferę swego życia; i znowu twarz ta układa się do imponującego spokoju w scenie z Vermouilletem. A za chwilę promieni macierzyńskiém prawie uczuciem w scenie z Klementyną, którą grała p. Bauman tak wdzięcznie, że w téj szczególniéj scenie) zyskała bardzo zasłużone oklaski. Wracając do p. Modrzejewskiéj powiemy, że z miniaturową dokładnością uwydatniła każdy szczegół nie wielkiéj roli swojéj. W ogóle w rolach salonowych artystka znajduje niewyczerpane pole do rozwijania coraz nowych bogactw swego talentu i nie za wiele powiemy mówiąc, że na jéj grze uczymy się poznawać kobietę z najrozmaitszych stron. — Gra p. Ładnowskiego zadowoliłaby nas zupełnie, gdyby się już raz pozbył niesmacznego wyginania się i rzucania, które wcale nie może oznaczać swobody. P. Wolański oddał rolę swoją starannie powinienby tylko postarać się o większą swobodę w ruchach a mniéj maniery. — W końcu pozostaje nam mówić o grze głównéj figury p. Vermouilleta, którego grał p. Józef Benda występujący jako gość w téj sztuce. Grze téj nic zarzucić nie można, ale jeżeli mamy być sprawiedliwi, musimy powiedzieć, że z roli téj o wiele więcéj można zrobić niż to uczynił p. Benda. Gra jego było to dopiero pierwsze podmalowanie postaci p. Vermouilleta; jest to gra popisowa, a p. Benda tylko oddał ją starannie.

Kończymy nasze uwagi o komedyi „Bezczelni“ i powiemy, że jest ona ciekawém studjum, które może dla tego nie budziło silnego interesu w naszéj publiczności, że jest zbyt obca i nie przystaje do naszych stosunków. Taki Vermouillet jest u nas bardzo rzadkim typem, cała sprawa Dziennika „Głos sumienia“, około któréj treść komedyi się obraca, jest dla nas czemś mythyczném, nieznaném. Wprawdzie u nas znaleźliby się tacy Giboyerowie, którzy nie wahając się sprzedać pióro i sumienie jakiéjbądź sprawie — ale gdzież u nas dziennik, któryby opinją tak trzymał za łeb, jak np. ów „Głos sumienia“, któryby był taką potęgą? — U nas dziennikarstwo czy to przez winę publiczności czy publicystwo, jest dotąd tylko liwerantem wiadomości dla ciekawych; to więc, co mówi Vermouillet o potędze swego dziennika, te nadskakiwania arystokracyi takiemu Giboyerowi za jeden jego paszkwil przeciw margrabinie, te ubiegania się o jego względy, są dla nas całkiem niezrozumiałemi i niepojętemi zjawiskami.

Pozostaje jeszcze sprawozdanie z Ryszarda III, które jednak z powodu, iżeśmy się o dwóch poprzednich sztukach szerzéj nieco rozpisali — odłożyć musimy do następnego numeru. ***M.*** —

MODY.

Podajemy znowu obok ryciny, **podwójny arkusz** krojów i wzorów i **gotową formę**. — Obok krótkich sukien ukazują się inne w nowym rodzaju, które pomimo swéj oryginalności bardzo ładnie wyglądają. Suknie te są powłóczyste, w tyle szeroką szarfą do góry podtrzymywane tak, iż suknia formuje dużą bufę w tyle. Szarfy te muszą być przynajmniéj pół łokcia szerokie.

Ładny bywa strój do wyjścia: Suknia pod spodem fioletowa pluszowa, na wierzchu krótka z czarnego atłasu spodniczka, obszyta fiołkowym atłasowym rulonem. Mantylka okolista czarna atłasowa, na środu w tyle dwoma różami z atłasu fioletowego spięta, a naokoło rulonem fiołkowym obszyta. Mały czarny kapelusz fiołkowym atłasem lamowany z wisiorkami czerwonemi szklącemi. Kołnierzyk i mankietki białe webowe. Półbuciki z brązowéj skórki, czarne rękawiczki fioletowym jedwabiem wyszyte. Najnowsze paski są z różnokolorowych piór, lub obszywane frandzlą z piór „Marabu“. Sieczki i paciorki są cokolwiek mniéj używane jak w roku zeszłym. Nowy rodzaj klejnotów ze stali i lawy lub złota bardzo poszukiwany i używany zwłaszcza dla młodych panienek.

Jako strój ślubny najnowsze są suknie białe rypsowe czyli aksamitne niestrzyżone, obszyte dołem falbaną koronkową lub po-

kryte tuniką koronkową podpinaną białemi kwiatami pomarańczowemi. Białe gładkie iluzjowe welony przenoszą nad koronkowe.

Fryzury już się pomalu zniżają, wysokie czesanie głowy już prawie ustało i tylko do wielkiego stroju pozostają w tyle drobne loczki otoczone warkoczem. Do stroju codziennego pozostaje skromne uczesanie.

Z bielizny eleganckie są: ranne ubranie haftowane, chustuczki do nosa z wstawkami koronkowemi i medalionami chaftowanemi, krawatki koronkowe z przypinaną kokardą, kołnierzyki z kryzkami z przodu à la Louis XV., oraz koszulki do ubrania pod wycięty stanik z białéj iluzyi, wstawek koronkowych i z muszlinu.

Chusteczki „Marie-Antoinette" z iluzyi lub mulu obszyte koronką, a któréj końce w tyle zwiazane zastępują szarfy, polecamy nie tylko na wieczory, ale także do wyjścia.

Opis ryciny.

Dzisiejsza rycina przedstawia **cztery ładne wiosenne ubrania**, z najpierwszych paryskich magazynów. Do tych ubrań dadzą się dołączone na arkuszu kroje z małemi odmianami zastosować.

Obok zupełnie wolnego paletocika osoby pierwszéj widzimy wcięte do stanu na osobie drugiéj, trzeciéj i czwartéj w różny sposób urządzone. Nosi się je na długiéj klinowéj sukni, lub na obcisłéj katance.

Druga osoba ubrana w długą klinową tunikę, któréj dół wycięty jest w głębokie zęby.

Trzecia osoba nosi podwójną spodnicę z szeroką szarfą, z takiéj saméj materyi jak suknia.

Suknia czwartéj osoby w kliny, do niéj żakiet kortowy z rozcinanemi połami, obszyty dwa razy rubonami z czarnego atłasu. Na arkuszu znajduje się krój tegoż żakieta.

Opis krojów. Arkusz I.

Fig. 1—4. Krój Cassaka wiosennego. Boczne części są znacznie dłuższe od przodu i tyłu, co bardzo pięknie wygląda. Sposób zeszycia oznaczają głoski A. B. C. D. i E., schodząc się z takiemiż samemi głoskami.

Fig. 5—9. Tunika dla małéj panienki. Gustowny ten strój jest aksamitny z obcisłym staniczkiem, jak to z kroju uważać można.

Fig. 10—13. Żakiet wiosenny. Przedstawiony z dość długą tuniką. Wygląda to jak krótka spodniczka, co lepiéj okazuje Fig. 13. Krój ten jest prawie wolny, z wyłożonym kołnierzem i małemi klapkami z przodu. Spodnia część może być z materyi takiéj jak suknia, lub z tegoż samego co i żakiet korciku zrobiona, jak również rękawy wązkie i szerokie. Wązkiego rękawa w krojach nie podajemy, gdyż w poprzednich numerach takiż krój łatwo odszukać można.

Fig. 14—16. Nowy paletocik wiosenny. Znowu widzimy inny rodzaj paletocika, którego są boki krótsze jak przód i plecy Jeżeli szerokość kortu dostateczna, można plecy z boczkami w całości krajać, jak to Fig. 15. okazuje. Obszycie szmuklerskie dokładnie odznaczone, jakotéż sposób zeszycia głoskami znaczony. Tak ten krój jak i Fig. 1—4. i Fig. 5—9. można podług naszego sposobu powiększyć.

Fig. 17—20. Model dla osoby majacéj pół szerokości piersi 45—46 centimetrów.

Obiecaliśmy podać krój ubrania osoby trzeciéj na rycinie w miesiącu marcu dołączonéj. Boczek Fig. 19. jest znacznie dłuższy jak przód i plecy, przez co formuje z boku sutą szarfę; połączenie pojedyńczych części oznaczone łoskami A. B. C. itd., i tak A. przypada do A., B. do B. itd. Boczek przyszywa się od C. i D. do E. i F. — od G. i H. zostaje roztwarty. Sposób obszycia dokładnie widzimy na osobie trzeciéj na rycinie Nr. 6. naszego pisma. Podług woli można cały krój przydłużyć.

Arkusz II.

Są tu cztery najświeższe okrycia wiosenne. Fig. 1—11. Sposób zrobienia paletota łatwo można pojąć zapomocą zarysu Fig. 11, który przedstawia paletot w wykończeniu. Krój ten jest na $\frac{1}{6}$ zmniejszony i może być zapomocą centimetrów do woli zwiększony, dodając ze wszystkich stron każdéj pojedyńczéj części pewną miarę.

Fig. 12—19. dwa ładne paletociki. Mogą one być z jedwabnéj materyi lub rypsu wełnianego, obszyte rulonikami atłasowemi. Na ruloniki kraje się atłas ukośno w 2 centimetry szerokie paski, zakłada się z obydwóch stron, kraje i stębnem lub maszyną przyszywają się podług zarysu Fig. 15. i 19.

Fig. 12—14. i Fig. 16—18. są na $\frac{1}{6}$ zmniejszone.

Fig. 20—23. Obcisły krój na paletot wiosenny. Tak obcisłe jak i zupełnie wolne paletoty będą téj wiosny noszone dla zadowolenia różnych gustów i wymagań. Krój paletota jest dla osoby miernéj tuszy **w naturalnéj wielkości** przedłożony. Obszycie z rulonów atlasowych lub krepiny.

Na zakończenie podajemy Fig. 24. itd. rozmaite stroje damskie, jako to: kapelusze, czepeczki, rękawki itd.

Osobny dodatek.

Model żakieta wiosennego w naturalnéj wielkości dla osoby średniego wzrostu. Krój ten jest wcięty z dokładném odznaczeniem stanu. Długość okrycia jest mierną z roztwartemi szwami w tyle, z boku i z przodu. Naokoło jest lamowany ukośnym atłasem lub obszyty krepinką szmuklerską.

☞ Zdaje się, że Sz. Prenumeratorki nasze uznają, że wszelkiéj dokładamy staranności dla dogodzenia ich życzeniom. Liczymy też na ich względy i wpływ na Znajome i Sąsiadki, któreby jeszcze upornie przy niemieckich pismach obstawały. Pokazaliśmy dotąd, że wraz z liczbą Prenumeratorów, wzrastała i wartość pisma, bogactwo i rozmaitość treści i obfitość dodatków. Radzibyśmy i nadal w dwójnasób jeszcze „Kalinę" uposażać. Od Was to zależy Sz. Panie, gdyż stosunkami swojemi możecie nam zdwoić liczbę Prenumeratorów.

*** Sprawozdanie o odczytach, koncertach i teatrach amatorskich musieliśmy z braku miejsca odłożyć do następnego numeru.

*** **Kasyno artystów i literatów**, po którém spodziewamy się rozbudzenia ruchu towarzyskiego, artystycznego i literackiego, urządziło się pod najlepszemi wróżbami. Dotąd jest członków 100. Przewodniczącym wybrany p. Mieczysław Dzieduszycki, zastępcą jego p. Gustaw Czernicki, sekretarzem p. Alfred Szczepański, kasjerem p. Walery Gadomski. — Do wydziału wybrano: sekcja literacko-dramatyczna: Bobrowski Wincenty, Bałucki Michał, Koźmian Stanisław, Rapacki Wincenty, prof. Stalberger Teodor; sekcja muzyczna: Hofman Kazimierz, Mirecki Stanisław, Steibelt Adolf, Dr. Wojciechowski Tadeusz, Bylicki Franciszek, Mikuszewski Józef; sekcja malarska: Matejko Jan, Jabłoński Izydor, prof. Szynalewski, Maliszewski fotograf. — Do pomyślnego rozwoju stowarzyszeń i pozyskania dla nich licznego udziału publiczności, którą u nas nie lada czém rozruszać można, przyczynił się wielce artykuł „zpod Wawelu" zamieszczony w Czasie. Powszechnie bowiem słyszeć można to zdanie: skoro znany fejletonista, tak na ten ruch powstaje, skoro z taką śmiałością białe robi czarném, skupianie nazywa rozbiciem i wspólną pomoc polowaniem na cudzy grosz; musi to więc być rzecz dobra i ruch zbawienny. Ta opinia uwalnia nas od zbijania poszczególe luźnych napaści owego pisarza. Żalujemy tylko, że się już tak stérało znakomite niegdyś pióro. Nie widząc potrzeby polemiki, postawimy jedynie naprzeciw twierdzeniom owego artykułu (jeżeli żółciowe kaprysy twierdzeniami zwać można) słowa słynnego prof. Chevalier: „Z żywiołów rozpierzchłych, prawie sproszkowanych, jakie przedstawia obecna epoka, można jeszcze odbudować społeczność wielką, szczęśliwą i silną, byle tylko umiano je złączyć. Ekonomia polityczna wskazuje jako środek skutecznéj łączności ducha stowarzyszeń.... Jeżeli się nie oprzemy na duchu stowarzyszeń, społeczeństwo nasze będzie nadal jako ruchomy piasek pustyni,... którym wiatr miota w przeciwnych kierunkach i powierzchnia jego coraz to inną nadaje postać.... Kurs II. lekcja 6." — Konserwatyzmem więc dzisiaj są stowarzyszenia. Znany fejletonista albo się zatém omylił powstając na stowarzyszenia, albo też znowu na starość ku rewolucyi i anarchii się nachyla.

*** Pismu naszemu nie wolno mieszać się do polityki — to też jedynie ze względu na domowe, rodzinne niepokoje musimy tu wspomnieć, że miasto nasze zaalarmowane jest jakiemiś tajnemi werbunkami do Turka, czy do lichéj pamięci Langiewicza, czy do kozaków baszy Czajkowskiego. Kilku chłopców podobno już zniknęło, głuche wieści rosną, a dziwna rzecz, że nie ma nikogo, ktoby temu zaradził lub sprawdził i ogłosił, co na tém jest — dla uspokojenia rodzin i opinii!

Wydawca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Kraków. — W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1868.